

MIASTO ZAPISANE

*Wspomnienia mieszkańców
Wrocławia*



Miasto zapisane

Wspomnienia mieszkańców Wrocławia

Publikacja powstała w ramach projektu „Miasto zapisane” realizowanego przez Fundację Rozwoju i Integracji „Mosty Serc”.

Projekt współfinansowany ze środków otrzymanych od Stowarzyszenia Odra-Niemen oraz Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego.

LICENCJA

„Miasto zapisane” jest dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Autorów i Auterek tekstów oraz Fundacji Rozwoju i Integracji „Mosty Serc”.

Utwór powstał w ramach projektu finansowanego w ramach konkursu „Dolny Śląsk – region silny społecznie. Regranting dla młodych NGO i grup nieformalnych”, realizowanego za pośrednictwem Stowarzyszenia Odra-Niemen na zlecenie Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w roku 2025.

Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o konkursie „Dolny Śląsk – region silny społecznie. Regranting dla młodych NGO i grup nieformalnych”.



Miasto zapisane
Wspomnienia mieszkańców Wrocławia

Redakcja

Magda Wieteska

Korekta

Magda Wieteska, Jakub Majkowski

Redakcja techniczna

Jakub Majkowski

Copyright © 2026 by Fundacja Mosty Serc

Opracowanie graficzne, skład, łamanie, projekt okładki

Jakub Majkowski

Spis treści

Magda Wieteska

Wstęp 1

Ewa Alfut

Okruchy wspomnień w sercu zapisane.....7

Wanda Hiszpanka

Rzeki mojego Wrocławia.....13

Hanna Czerwony

Magia kina „Przodownik”.....19

Larysa Wegneris

Adresy, których już nie ma 24

Anna Lichuta

Moje Karłowice.....30

Bożena M.

32 lata na Niemcewicza.....33

Stefanka

Miasto z rodzinnej legendy 39

Małgorzata Górecka

Wrocław smacznie pachnący 44

Krystyna Tracek-Majchrzycka

Lodowisko, rock i wspomnienia 48

Kozanka

Wrocławska ławeczka 53

Bogdan

Miasto, które rosło i znikło 59

Wojciech Prześlamski

Wrocław z osobistej perspektywy 67

Elżbieta Purska

Ludzie mojego Wrocławia.....76

Irena Brojek

Taniec po mapie Wrocławia.....81

Ewa Königsman

Księżę (nie) Małe – mój kawałek ziemi wielkiego miasta 87

Ewa Königsman

Wrocławscy studenci-seniorzy 90

Renata Żurawska

Mój udomowiony Wrocław 93

Anna Błachnio

Jak zostałam Wrocławianką..... 100

Baśka

Z okien mojego pociągu życia 103

Janda

„Dzień dobry we Wrocławiu” 108

Larysa Wegneris

Miasto, które mówiło ludzkim głosem 112

Wstęp



Każdy ma swój Wrocław.

Nie ma jednego Wrocławia, tak jak nie ma jednej pamięci o mieście. Ten sam plac, ulica, park czy budynek mogą dla różnych osób znaczyć coś zupełnie innego. Dla jednej osoby będą miejscem pierwszej pracy, dla innej – dziecięcych zabaw, spotkania z przyszłym mężem, studenckiej kawy, rodzinnego spaceru albo ważnego wydarzenia. Czasem wystarczy zapach, dźwięk, widok z okna czy smak dawno niewidzianej potrawy, żeby miejsce, którego już właściwie nie ma, powróciło z niezwykłą wyrazistością.

Taki właśnie Wrocław zapisali uczestnicy projektu „Miasto zapisane”. Publikację poprzedziły warsztaty poświęcone pamięci miasta i pisaniu osobistych opowieści. Przedsięwzięcie zwieńczyło wydarzenie w Muzeum Architektury we Wrocławiu, podczas którego autorzy i autorki czytali fragmenty swoich tekstów, a rozmowy stały się okazją do dalszego przyglądania się własnym historiom i temu, jak miasto zapisuje się w pamięci.

Powstało 21 osobistych opowiadań. Nie są przewodnikiem po mieście ani próbą stworzenia jego kompletnej historii. Nie znajdziemy tu

wszystkich najważniejszych zabytków, ulic czy wydarzeń. Znajdziemy za to coś, czego nie da się zapisać na żadnej oficjalnej mapie: Wrocław zapamiętany.

Jest więc Wrocław dzieciństwa – z ruinami, pustymi przestrzeniami, podwórkami, ogródkami działkowymi, morwami, kolejkami wąskotorowymi i ulicami, po których poruszało się znacznie mniej samochodów niż dziś. Są mieszkania, w których toczyło się codzienne życie: skromne, ogrzewane piecami kaflowymi, czasem bez łazienki, ale pełne rodzinnych historii. Jest szkoła, internat, akademik, pierwsza praca, pierwsze samodzielne mieszkanie. Jedna z autorek pamięta dokładnie kształt swojego nietypowego pokoju, inna – drogę do przedszkola, którą jako dziecko pokonywała sama.

Jest Wrocław, do którego się przyjeżdżało. Czasem z pobliskiej miejscowości, czasem z drugiego końca Polski. Dla jednych był miastem studiów, dla innych pracy, dla jeszcze innych miejscem, które miało stać się domem dopiero po latach. Niektórzy trafili tu właściwie przypadkiem, a potem zostali na całe życie. W jednej z opowieści Wrocław daje młodemu człowiekowi od razu pracę, mieszkanie i życzliwych ludzi; w innej młoda studentka, początkowo zagubiona w wielkim mieście, stopniowo zaczyna je oswajać.

Są w tych wspomnieniach także ludzie. Rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, nauczyciele, sąsiedzi, współpracownicy, właściciele mieszkań, przypadkowo spotkani nieznajomi. To oni często sprawiają, że miejsce staje się „nasze”. Jeden z autorów opowiada o Wrocławiu przez historię

swoich rodziców, którzy przyjechali tu na studia i związali z miastem całe swoje życie. Inna autorka wspomina ludzi kultury, których spotykała zawodowo – twórców, aktorów, reżyserów, pisarzy i muzyków, budujących kulturalną tożsamość powojennego Wrocławia.

Są też miejsca, których już nie ma. Dawne kina, bary, restauracje, sklepy, dworce, lodowiska, targowiska, budynki i całe fragmenty miasta. Jedna z autorek prowadzi nas śladem smaków dawnego Wrocławia – od placarki i barów mlecznych po herbaciarnie, cukiernie i studenckie lokale. Inni wracają do miejsc, które zniknęły albo całkowicie zmieniły swoje przeznaczenie. Wspomnienie okazuje się wtedy czymś w rodzaju prywatnego archiwum miasta.

Miasto zapisane jest również dźwiękami, zapachami i smakami. Zapachem świeżo upieczonego chleba, kawy, bzów, koszonej trawy. Dźwiękiem tramwaju na rozjeździe, stukotem maszyny do pisania, głosem telefonistki, syrenami karetek, gwarem ulicy. Smakiem chałwy, pączka, placków ziemniaczanych czy kawy mrożonej. To właśnie takie szczegóły sprawiają, że wspomnienie przestaje być jedynie informacją o przeszłości i staje się doświadczeniem, które można niemal zobaczyć, usłyszeć czy poczuć.

W wielu opowieściach wyraźnie obecny jest także czas. Wrocław po wojnie, Wrocław lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, Wrocław studencki, Wrocław PRL-u, miasto po transformacji, po powodzi w 1997 roku i Wrocław współczesny. Niektórzy autorzy pamiętają jeszcze gruzowiska i ślady wojny, inni obserwują, jak w ich miejsce wyrastają nowe

budynki. Pamiętają drzewa, które zostały wycięte, budynki, które rozebrano, miejsca, które zmieniły funkcję. Jednocześnie dostrzegają to, co przetrwało.

Dlatego „Miasto zapisane” jest także opowieścią o przemijaniu. O tym, że miasto nieustannie się zmienia, a wraz z nim zmienia się życie jego mieszkańców. Czasem te zmiany cieszą, czasem budzą żal. Znikają drzewa, budynki i miejsca, ale pozostają ich obrazy zapisane w pamięci.

I właśnie tutaj pojawia się pamięć autobiograficzna.

Nie jest ona fotograficznym zapisem przeszłości. Nie przechowuje wszystkiego i nie przechowuje wszystkiego jednakowo. Wybiera. Łączy wydarzenia z miejscami, ludzi z zapachami, dźwięki z emocjami. Czasem po wielu latach szczegół, który kiedyś wydawał się zupełnie nieistotny – kształt pokoju, kolor płaszcza, smak kawy, wygląd drzewa, brzmienie głosu – okazuje się ważniejszy niż wielkie wydarzenie.

Widać to bardzo wyraźnie w tekstach zebranych w tej książce. Jedna osoba wraca do rodzinnego domu nad Bystrzycą, inna do swojej ławeczki nad Odrą, jeszcze inna do osiedla, na którym spędziła całe życie. Dla jednej najważniejszy okazuje się człowiek spotkany przypadkiem, dla innej fontanna, neon, sklepik, park czy stary krzew bzu. Miejsca stają się punktami zaczepienia dla pamięci, a pamięć sprawia, że otrzymują własną, osobistą historię.

Dlatego każdy z tych tekstów jest czymś więcej niż wspomnieniem o Wrocławiu. Jest fragmentem czyjegoś życia.

Czytając te opowieści, możemy patrzeć na Wrocław z wielu perspektyw: dziecka i dorosłego, studenta i pracownika, rodzica i seniora, osoby,

która urodziła się w tym mieście, i tej, która przyjechała tu jako młoda dziewczyna lub młody mężczyzna. Możemy zobaczyć miasto, którego już nie ma, i to, które istnieje dzisiaj. Możemy też odkryć, że dwa wspomnienia dotyczące tego samego miejsca mogą być zupełnie różne – bo każde z nich jest prawdziwe dla osoby, która je przeżyła.

Ta książka powstała właśnie po to, żeby te osobiste Wrocławie zachować.

Bo miasto można zapisać na mapie, w dokumentach, fotografiach i archiwach; opisać w przewodniku i opracowaniu historycznym. Ale można zapisać je także inaczej – w ludzkiej pamięci i w opowieści. A kiedy opowieść zostaje zapisana, prywatne wspomnienie staje się częścią wspólnej pamięci.

Jako redaktorka tej publikacji czytałam te opowieści z dużą uważnością, ale także z ogromną ciekawością. Wielokrotnie zatrzymywałam się przy szczegółach, które uruchamiały moje skojarzenia i wspomnienia. Bywały też chwile wzruszenia. Nie mogło być chyba inaczej – jestem przecież Wrocławianką od urodzenia i mieszkam w tym mieście nieprzerwanie do dziś. Czytając o dawnych ulicach, podwórkach, kinach, sklepach, tramwajach, parkach i ludziach, spotykałam więc nie tylko cudzy Wrocław. Czasem odnajdywałam w tych opowieściach także fragmenty swojego miasta i własnej pamięci.

Dlatego zachęcam Państwa, by czytać tę książkę niespiesznie. Nie tylko po to, żeby dowiedzieć się, jaki był Wrocław widziany oczami jego mieszkańców, lecz także po to, by sprawdzić, co te opowieści uruchomią

w Was. Być może rozpoznać jakieś miejsce, przypomnieć sobie człowieka, którego dawno nie widzieliście. Może wróci zapach, smak, melodia albo obraz, o którym wydawało się, że już dawno zniknął z pamięci. A może po prostu pojawi się myśl: „Ja też mam swoją historię tego miasta”.

Od lat prowadzę warsztaty poświęcone pamięci autobiograficznej i pisaniu wspomnień. „Miasto zapisane” jest kolejnym dowodem na to, że każdy z nas nosi w sobie własne archiwum – pełne ludzi, miejsc, głosów, zapachów, obrazów i historii, które czekają na zapisanie.

Na koniec chcę szczególnie podziękować Autorkom i Autorom tych opowieści – uczestnikom projektu „Miasto zapisane”. Za czas, który poświęcili na ich napisanie, za odwagę dzielenia się osobistymi wspomnieniami, za wszystkie przywołane miejsca, osoby i historie. Ale przede wszystkim za serce, które włożyli w tę publikację. Bez ich pamięci, zaangażowania i gotowości do opowiadania ta książka po prostu by nie powstała.

Mam nadzieję, że oddając ją w ręce Czytelników, przekazujemy Państwu coś więcej niż zbiór wspomnień.

Serdecznie zapraszam do lektury. I do własnych wspomnień.

dr Magda Wieteska

prezes Fundacji „Mosty Serc”

Ewa Alfut

Okruchy wspomnień w sercu zapisane



Mały pokoik, w małym domku, gdzieś w małym miasteczku. Przy niewielkim stole, w plamie światła padającego od lampki nocnej, siedzi szczupła, ciemnowłosa dziewczyna. Ma może czternaście, może piętnaście lat. Nad stołem wisi słomiana mata, nieodłączny wystrój kącików nastolatek lat siedemdziesiątych XX w. Na macie pyszni się napis „Wrocław – moja miłość”. Wiszą pocztówki przedstawiające nadodrzańskie miasto.

Ewa, bo tak ma na imię dziewczyna, z przejęciem pisze coś w grubym zeszycie w kratkę. Jak każdego dnia w sekretnym pamiętniku utrwała przeżycia, myśli, ludzi, miejsca.

Dziś opisuje swój ostatni kilkudniowy pobyt we Wrocławiu, mieście urodzin, mieście ukochanym, do którego kiedyś powróci, by już zostać do końca. Niebieskie ścieżki atramentowych literek przypominają wrocławskie tramwaje, szczególnie „O” – okólną (zawsze ją zastanawiała ta nazwa, aż zrozumiała, że tramwaj po prostu robi koło, stąd okólna). Jakże to był dla niej przyjazny numer, który niezależnie od kierunku zawiózł do celu. Nigdy nie była zbyt odważna, zawsze nieśmiała, po przyjeździe trwożliwie rozglądała się wokół i gdy nikt po

nią nie wyszedł, pomocną okazywała się myśl, że „0” dowiezie ją na Nowowiejską, a dalej sobie poradzi. Pamięta, że gdy była młodsza, bilety kupowało się u konduktora czy konduktorki na miejscu, w wagonie. A tramwaj zgrzytał niemiłosiernie, na zakrętach niebezpiecznie dryfował, ale jakoś dowoził do celu. Potem z tramwajów zniknęli konduktorzy, bilety kupowało się w kioskach „Ruchu” (dziś także nieobecnych w miejskim krajobrazie). Pojawiły się „przegubowce”, cicho sunące po szynach, kasowniki, tramwaje niskopodłogowe, przyciski do otwierania drzwi, automaty do biletów...

Gdy „zerówka” ze świstem i zgrzytem dowoziła na właściwy przystanek, należało dotrzeć na miejsce ulicami Śródmieścia, pełnego starych kamienic, dziwnych podwórek, budzących grozę klatek schodowych (tej grozy nieco przydawała nazbyt wybujała fantazja).

Ciężkie bramy, klatki-tunele, wysokie piętra, toalety na półpiętrach, żeliwne krany w dużych kuchniach – pamięć zapisała dawne obrazki, jakie można było zobaczyć tylko w dużym mieście, w jej Wrocławiu. I był to świat fascynujący, tajemniczy, zgrzebny, a jednocześnie jakiś swojski. Że zgrzebny i dość ponury, zrozumiało się dużo później, gdy powoli i do nas dotarły radość, słońce, barwy. Nastoletnia Ewa jeszcze nie wie, że takie zmiany nastąpią. Z przejęciem smakuje najpyszniejsze lody z „Romy” na ul. Rydygiera (lodziarnia nadal istnieje, chociaż i ona przeszła „lifting” zmuszona przez ducha czasu), zachłystuje się jednym z najpiękniejszych zapachów, zapachem świeżego chleba z piekarni „Mamut” przy ul. Sienkiewicza. Wraz z mamą niejednokrotnie bywa na Hali Targowej, gdzie można kupić przysłowiowe „szwarc, mydło i

powidło”, poobserwować pana, który wykrzykuje „pijawek, pijawek”, przyjrzeć się Cygankom, ich malowniczym spódnicom, pomarzyć o „powróżyć, powróżyć”.

Nie ma już piekarni „Mamut”, z Hali Targowej zniknął „pan od pijawek” i w ogóle zmienił się wystrój, Cyganie, dziś Romowie, także już nie krążą wokół, klatki pozamykano domofonami, kamienice w większości wyremontowano, podwórka „oswojono”. A i „zerówka” zniknęła z trasy okólnej. Jest piękniej, bogaciej, ale...

W głowie kołaczą słowa M. Dąbrowskiej: „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia”.

Czas zatem na zmianę i w mojej opowieści.

Duży pokój na czwartym piętrze starej kamienicy. Na środku stół, nad stołem wisząca lampa, przy stole siedzi Ewa, już nie nastolatka, z dowodu wynika, że dorosła, ale z tą prawdziwą dorosłością różnie jest. Już na stałe wróciła do Wrocławia. Ma miasto na co dzień, oswaja je, poznaje, śledzi zmiany, które zachodzą, ma ulubione miejsca i trasy. Dalej w pamiętniku opisuje swoje zachwyty, rozczarowania i smuteczki też. Pamiętnikowi powierza refleksje po filmach obejrzanych w nieistniejących już dziś kinach. To w „Polonii” przy ul. Żeromskiego, „Lalce” przy ul. Prusa, w „Śląsku” przy ul. Świerczewskiego (obecnie Piłsudskiego) oglądała z wypiekami na twarzy Kino Moralnego Niepokoju, filmy niezwykłych twórców – A. Wajdy, K. Zanussiego, F. Falka, J. Kijowskiego i innych.

Filmy, które zmuszały do refleksji, obnażając wszechobecną mizериę, intrygowały, poruszały, zmieniały. To tutaj także, w tych przybytkach X

Muzy, otwierał się przed oczami inny świat, budząc niepokój i tęsknotę poprzez Konfrontacje Filmowe – kultowy, ogólnopolski przegląd kinematografii światowej. A przecież oprócz wymienionych były też i te mniejsze kineczka, „Pionier” przy ul. Jedności Narodowej, „Światowid” na Sępolnie, gdzie Ewa specjalnie pojechała, by wypłakać morze łez na ckliwym „Con Amore”. I jeszcze „Ognisko” na Karłowicach, „Studio” na Popowicach, „Tęcza” na Kościuszki i wiele, wiele innych.

Dziś już nawet wspomnienia o nich pokryły się kurzem niepamięci, opowieść o tym, że do „Warszawy” (obecnie DCF) chodziło się na „efekty specjalne”, bo kino było do tego przystosowane, budzi śmiech w dobie obecnych możliwości. Te ważne dla poprzednich pokoleń miejsca zniknęły z mapy miasta bądź zmieniły przeznaczenie. Zapewne niewielu pamięta, że w Hali Stulecia (wtedy jeszcze Ludowej) było kino „Gigant”, gdzie w ramach Konfrontacji, na wielkim ekranie (wszak było to kino „Gigant”) wyświetlano wielki film „Czas Apokalipsy” F. Coppoli.

A w tym czasie powoli zmieniała się rzeczywistość i świat, także ten mniejszy, własny. Znów zachodziła zmiana w scenach widzenia.

Ewa jest już naprawdę dorosła. Ma męża, dzieci, dom, pracę, którą kocha i własne miejsce na ziemi, własne M-4 na wrocławskich Kuźnikach, niewielkim osiedlu na zachodzie miasta.

Tu już czas, by powiedzieć o sobie „ja, Ewa”. Ta „ona” to Ewa z przeszłości, która obecną ukształtowała.

Jak kiedyś, jak dawniej, kocham i podziwiam swoje miasto. Cieszę się, że wypiękniało i ciągle pięknieje, że przyciąga tłumy turystów i zachwyca.

Kocham szczególnie niewielki skrawek Wrocławia, zielone Kuźniki. Idę uliczkami, które głównie noszą nadmorskie „imiona”, rejestruję zmiany, jakie i tutaj zaszły. Przechodzę obok szkoły, gdzie przeszło trzydzieści lat pracowałam. Rozrosła się, wypiękniała, doczekała windy i nowych elewacji. Znakiem czasów są stojaki na rowery i hulajnogi. Wciąż raduje głosami uczniów i szkolną wrzawą.

Idę przez Kuźnicki Rynek, niegdyś pokryty koślawymi płytami, teraz wyłożony kostką, otoczony zielenią. Z panoramy Kuźnik zniknęły w większości małe sklepiki wyparte przez duży market „Polo”.

Największą zmianę rejestruję, przyglądając się osiedlowym placom zabaw. Pamięć podsuwa obrazy z pierwszych lat mieszkania tutaj, ciąгла budowa, dzieci w piaskownicy, jakieś huśtawki, małe karuzele. Potem pojawiły się ogromne konstrukcje z drewnianych bali, na które dzieciaki mówiły belki. Toporne to było i siermiężne, jak rzeczywistość PRL-owska końca lat osiemdziesiątych, ale ówczesne dzieci, dziś już osoby dorosłe i dojrzałe, uwielbiały zabawy na belkach, które z czasem zniknęły. Ich miejsce zajęły kolorowe konstrukcje różnorakich sprzętów do ćwiczeń i zabawy. Z czasem wszystko ogrodzono, żadne z dzieci nie zabiera już zabawek do domu, co kiedyś było nie do pomyślenia. Zamknięte na placu zabaw czekają na kolejny dzień, aż znowu ktoś z nich skorzysta i „zaprosi” do zabawy. Znakiem czasów są także siłownie na powietrzu i wypasiony Statek Piratów.

Idę sobie przez moje osiedle, rejestruję zmiany, które zaszły i zachodzą. Łąka, na której niegdyś zbierało się fiołki i spacerowało z psem, stała się lasem z „samosiejek”. W Lasku Kuźnickim nad Ślężą wytyczono alejki, postawiono ławeczki. Na niegdyśszych boiskach i działkach pobudowano nowe bloki, jakże inne od tych z wielkiej płyty, w których znajduje się moje mieszkanie.

Zmienia się moje osiedle, zmienia się moje miasto. Serce wciąż tak samo kocha to miejsce na ziemi, gdzie słyszy się kroki przyjaciół, gdzie swoje opowieści snuje Odra i inne rzeki, gdzie niebieskie tramwaje wciąż wystukują wrocławską piosenkę, a wiatr i słowiki niosą dalej jej słowa.

Cieszy różnorodny gwar na kolorowym, pięknym Rynku, raduje smaczna kawa wypita w którymś z kawiarnianych ogródków, uliczni mimowie i grajkowie, ten cały radosny rejwach i zamieszanie, tak nieobecne niegdyś. Jak dobrze, miasto moje kochane, że uśmiechasz się do nas słonecznie.

Zaszły zmiany w scenach mojego widzenia, także po to, bym mogła (i zapewne nie tylko ja) powiedzieć: „Kocham cię miasto, najmiłsze, olśniona twoją urodą. Za urok kocham cię legend, za twoją starość i młodość. [...] Kocham cię miasto, że jesteś i że mnie ciągle zachwycasz...”.

Powtórzę za H. Heine: „Bądź pozdrowione miasto, wielkie i pełne tajemnic”.

Wanda Hiszpanka

Rzeki mojego Wrocławia



„Wspomnienia są wszystkim, co nam pozostało, gdy wszystko inne zniknie” – Dean Koontz.

Zapraszam i ja Was do mojego Wrocławia.

Mając 15 lat, kończę ośmioletnią Szkołę Podstawową we wsi Kamionna. Wieś ta położona jest blisko nurtu rzeki Bystrzycy i Kątów Wrocławskich. Do średniej szkoły jadę do miasta, wtedy wojewódzkiego. Tam też mieszka moja starsza siostra Alina z rodziną.

Do wymarzonego liceum nie dostaję się, bo zabrakło mi wymaganej liczby punktów. Szkoła, w której będę się teraz uczyć przez sześć lat, znajduje się przy ulicy Swobodnej 31. Budynek jest duży, mieszczą się w nim dwie szkoły i internat. To adres nieistniejących już Arkad Wrocławskich. Na tyłach budynku szkoły jest mały zakład „Elektromontażu”, gdzie mamy niektóre praktyki.

W szkole, w której uczy się kilkuset chłopców, my, klasa 1A, jesteśmy jedynymi dziewczynami. Mamy wśród chłopców ogromne powodzenie i nawet biją się o nas. Uświetniamy naszymi wystąpieniami na apelach i śpiewem w chórze wszystkie szkolne i zakładowe uroczystości.

Naprzeciw szkoły, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się sklep EPI, jest wielkie gruzowisko, a na nim mały plac, na który przy słonecznej pogodzie wybiegamy w szortach na lekcje gimnastyki. Robimy dużo hałasu, biegając i śmiejąc się. Ruiny porośnięte są krzewami i trawami. Od czasu do czasu z tych ruin wychyla się jakiś zając, pokazuje nam, jak skakać i przestraszony umyka. Czasem mamy ochotę za nim biec dla zabawy, ale pamiętamy uwagi nauczyciela, że w ruinach mogą znajdować się jeszcze niewypały.

Do szkoły ze wsi Czereńczyce dojeżdżam autobusem PKS z sąsiednich Mirosławic. Do przystanku autobusu trzeba dojść, często w deszczu albo mrozie. Autobus albo przyjedzie, albo nie, albo zabierze mnie, albo trzeba będzie czekać na następny.

Już pierwszego roku dojazdów do Wrocławia siostra Krysia, która chodzi do szkoły spożywczej w Młynie Maria, uczy mnie, jak można pieniądze otrzymywane od rodziców wydawać na przyjemności, a nie na bilet miesięczny PKS, książki czy zeszyty. Pierwszym luksusem, którego mnie uczy, jest przesiadywanie w kawiarni na Dworcu Głównym PKP. Dworzec jest duży, majestatyczny, ale też brudny i hałaśliwy, a w nim często spotyka się biegające szczury. Pełno w nim nieciekawych typów „spod ciemnej gwiazdy”, niekoniecznie czekających na jakikolwiek pociąg. Jednak wizyta w kawiarni to sama przyjemność, a aromat i smak kawy mrożonej pamiętam do dziś. Takiej dobrej, mocnej i „prawdziwie” mrożonej kawy nie smakowałam nawet „na końcu świata”.

Po roku nauki zamieszkuję już w mieście. Mieszkanie jest duże i jasne. Z okna kuchni, które się nie domyka, mam widok na zajezdnię

MPK przy ulicy Grabiszyńskiej, obecnie Centrum Historii Zajezdnia. Natomiast z okien pokoi i balkonu widać ogrody domów jednorodzinnych przy ulicach Bzowej, Pierwiosnkowej i innych. Za ogrodami pojawiały się czerwone dachy domów przy ulicy Przodowników Pracy, obecnie Alei Generała Józefa Hallera.

Osiedle Grabiszyniek staje się więc moim domem na wiele lat. „Górka Pafawagu” jest w pobliżu, a z niej często oglądam, a bardziej słyszę, mecze Śląska Wrocław. Oglądanie meczu utrudnia rząd wysokich topoli, rosnących za trybunami, a przed ogrodzeniem od strony ulicy.

Sam stadion w mojej pamięci to zapach często koszonej trawy i chrzęst piasku pod butami młodych sportsmenek Śląska Wrocław. Siostra Krysia, za namową ojca, aby poskromić swój temperament, trenuje tutaj lekkoatletykę. Zaczyna od biegów przez płotki, ale za radą trenera przerzuca się na dyscypliny bardziej siłowe – rzuty dyskiem i kulą. Często po szkole towarzyszę jej w treningach. Do dziś pamiętam pokrzykiwania trenera: „Dalej, szybciej i mocniej!”. Ja tylko biegałam, odnosiłam to, czym ona rzucała i robiłam niezłe uniki, żeby nie oberwać kulą czy dyskiem.

Z Krysią biegałyśmy też do Parku Południowego, przy torach kolejowych, tam i z powrotem. Zatrzymywałyśmy się w parku na kawę. Nie pamiętam, czy była to obecna „Agawa”, ale miejsce to samo. Czasem zatrzymywał nas koncert. Na parkowej scenie występowało wielu znanych już w kraju artystów. Krystynę Prońko zapamiętałam i pokochałam „na zawsze”. Pamiętam, jak zobaczyłam ją na żywo: jej głos, który tak mi się spodobał, i jej niedużą postać w beżowym prochowcu. Gdy

ślucham piosenki „Psalm stojących w kolejce” do słów Ernesta Brylla i muzyki Wojciecha Trzcińskiego, przypomina mi się właśnie Ona i stary, niekoniecznie jeszcze zadbane, mój Park Południowy.

Potem nastał dla mnie czas większej odpowiedzialności. Do naszego rodzinnego mieszkania przybyli lokatorzy: młodsza siostra Irenka, uczennica VI klasy szkoły podstawowej i starszy brat Kazimierz, student. Mając 17 lat, stałam się więc, poza byciem pracującą uczennicą, opiekunką młodszej siostry i gospodynią.

Pamiętam jeszcze kilka wizyt w ZOO z Irenką i moim chłopakiem Edkiem. Po tych wizytach obiecywałam sobie, że nie pójdę tam więcej. Teren nie był zaniedbany, ale zwierzęta były osowiałe i nie wyglądały na zdrowe.

Po urodzeniu syna Mariusza znów bywałam w tym miejscu. Na przestrzeni lat niewiele się w nim zmieniało. Mogliśmy zobaczyć, czym karmione są zwierzęta. W ich diecie nie brakowało owoców cytrusowych, dla nas wówczas prawie niedostępnych. Wizyty w ZOO stawały się rzadsze. Do dziś pamiętam zaduch w pawilonie gadów. Wchodziło się tam na wdechu i prawie wybiegało na wydechu.

W czerwcu tego lata byłam w ZOO z bratem i jego rodziną, z jego wnuczką i prawnuczką. Ale to już inna historia. Wizyta ta jest miłym wspomnieniem z wrocławskiego ogrodu. Bo przecież „życie to nie to, co przeżyliśmy, ale to, co zapamiętamy i jak to pamiętamy, aby opowiedzieć o tym innym” – Gabriel García Márquez.

Niedawno wybrałam się z grupą miłośników dźwięków do parku zamkowego w Leśnicy, aby wsluchiwać się w jego odgłosy, a także w

dźwięki toczącego się życia kulturalnego w samym zamku. Jedną z części parku „dotyka” nurtu rzeki Bystrzycy. Rzeka w tym miejscu, „przy zielonym moście”, stanowi granicę parku.

Wczoraj na Facebooku odczytałam wiadomość, że grupa miłośników rowerów ze Stabłowic wybiera się na wycieczkę wzdłuż rzeki Bystrzycy do wsi Kamionna. Ja właśnie w tej wsi ukończyłam szkołę podstawową i od takiego zdania zaczęły się te wspomnienia. Moi rodzice zbudowali dom na Stabłowicach i ja też teraz tutaj mieszkam.

Pobliskie Marszowice to z kolei jedno z miejsc, w których rodzice mieszkali jako młode małżeństwo. Potem los pogał ich dalej w poszukiwaniu lepszego życia, a Stabłowice stały się ostatnim miejscem ich zamieszkania. Rodzice pochowani są na cmentarzu w Marszowicach, które także leżą nad Bystrzycą.

Kocham moje miasto i rzekę, wzdłuż której często spaceruję. Dla mnie to Bystrzyca jest najważniejszą rzeką. Daje mi wiele: śpiew ptaków, głęboki cień starych gałęzi drzew, kwakanie kaczek w łęgach i ciszę. Idąc parkiem, mogę dojść do wsi, w której mieszkałam jako dziecko, do Marszowic. Tego lata szczególnie często przemierzam Groblę Maślicką, na piechotę lub rowerem. Lubię te tereny i okolice meandrującej Bystrzycy. Jest to jej ostatni odcinek, bo w tym miejscu rzeka już wpada do Odry. Przytulam się do drzew rosnących nad jej brzegiem i ogarnia mnie radość i nostalgia.

Mieszkałam na emigracji, podróżowałam, zwiedziłam wiele krajów... Ale wróciłam do Wrocławia, do domu, nad Odrę i Bystrzycę – rzeki mojego miasta.

Kiedyś usłyszałam taki cytat: „Nieprawdą jest, że cały świat może być twoim domem, ale prawdą jest, że twój dom może być całym twoim światem” (autor nieznany).



Hanna Czorny

Magia kina „Przodownik”



Jestem wrocławianką z racji „zasiedzenia”. Mieszkam tu od siedemdziesięciu trzech lat i sędzę, że to wystarczająco długo, by pozbyć się kompleksów związanych z miejscem urodzenia. Jak to się stało, że nie urodziłam się we Wrocławiu? Na początku lat pięćdziesiątych tato dostał pracę w Zakładach Zbrojeniowych „Archimedes”, przyjechał z Bytomia razem z mamą, świeżo poślubioną żoną. Na początek rodzice otrzymali jeden pokój w hotelu robotniczym. Kiedy mama spodziewała się dziecka, postanowiła urodzić mnie w Bytomiu, gdzie mieszkali moi dziadkowie i tak przyszłam na świat w szpitalu przy ulicy Żeromskiego. Po moich narodzinach całą rodziną wróciliśmy do Wrocławia. Tato napisał podanie o przydział mieszkania. Los nam sprzyjał, bo właśnie zakończono remont dwóch poniemieckich bloków przy Alei Pracy, gdzie rodzice dostali dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Zamieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Tutaj dorastałam i mieszkam do dziś w pięknej dzielnicy Grabiszynek.

Chciałabym zabrać wszystkich do miejsca, w którym od lat mieszały się śmiech i wzruszenie, tajemnica i przygoda, wielkie miłości i wielkie dramaty. Czy domyślacie się, o jakim miejscu myślę? O kinie. Wszystko

zaczęło się od wynalazku braci Lumière, którzy stworzyli kinematograf i zorganizowali pierwszy publiczny seans. Zanim wygodnie rozsiądziemy się w fotelach kinowych, musimy wsiąść do tramwaju. Dla mnie najbliższy przystanek znajdował się na ulicy Przodowników Pracy, obecnie Generała Józefa Hallera, róg Alei Pracy. W tamtych latach tramwaj składał się z dwóch wagonów z przednim i tylnym pomostem. W środku były dwie długie ławki, a obowiązkowo jechał konduktor sprzedający bilety. Najbardziej zapamiętałam jego rękawiczki bez palców – postrzępione i brudne.

Przed wojną i jeszcze przez kilka lat po jej zakończeniu ulica wyglądała zupełnie inaczej. Od pętli tramwajowej aż do wiaduktu ciągnęła się szeroka aleja wysypana piaskiem, z ławkami i ogromnymi topolami po obu stronach. Ulicę oświetlały latarnie gazowe, takie jak te, które do dziś można zobaczyć na Ostrowie Tumskim. Wieczorem szedł mężczyzna w wojskowym szynelu i za pomocą długiego kija zapalał kolejne lampy. Dla dziecka był to niemal magiczny widok. Dzisiaj myślę, że właśnie wtedy zaczęła rodzić się moja fascynacja filmem. Przecież ile filmowych scen rozgrywa się na ulicach oświetlonych gazowymi latarniami! Ich światło buduje nastrój, tajemnicę i napięcie – dokładnie takie, jakie pamiętam z kinowych seansów.

Na tej ulicy znajdowało się kino „Przodownik”, gdzie po raz pierwszy doświadczyłam magii wielkiego ekranu. Mieściło się w przepięknym budynku, wybudowanym w 1925 roku według projektu architekta Adolfa Radinga, zgodnie z panującym stylem modernistycznym. Począt-

kowo służył jako siedziba loży masońskiej Odd Fellows, aż do jej delegalizacji przez władze nazistowskie w 1936 roku. W okresie przedwojennym i wojennym odbywały się tu seanse filmowe pod szyldami Roxy Filmplast oraz Rex. Po wojnie w 1950 roku otwarto kino pod nazwą „Przodownik”, nawiązując do nazwy ulicy i panującej ideologii w kraju. Okres ten zakończył się 16 grudnia 1989 roku zmianą z „Przodownika” na „Lwów”.

Na tle wielu kin osiedlowych PRL „Przodownik” mógł uchodzić za kino wyjątkowo nowoczesne i estetyczne. Wnętrze przeszło gruntowną przebudowę na początku lat 50., pod kierownictwem architekta Wacława Szpakowskiego, jednego z pionierów sztuki geometrycznej. Dzięki niemu zamiast typowego socrealistycznego przepychu kino zyskało nowoczesne, rytmiczne wzory i geometryczne podziały ścian, które nawiązywały do przedwojennego modernizmu. Sala dość szeroka, z lekko opadającą widownią miała około 500 miejsc. Fotele typowe dla kin – z tapicerowanymi siedziskami i oparciami w kolorze ciemnej czerwieni, charakterystycznymi dla tego okresu. Nie były luksusowe, ale uchodziły za solidne i wygodne. Charakter wnętrza podkreślały ściany pokryte dekoracyjnymi panelami akustycznymi z geometrycznymi motywami, a oświetlenie dyskretnie ukryto w bocznych wnękach. Uwagę przyciągało duże foyer z kasami biletowymi. W kolejnych latach – 60., 70. i 80. wygląd zmieniał się niewiele. Wymieniono jedynie fotele i wyposażenie techniczne, pojawiły się nowe neony i afisze zgodnie z obowiązującą modą. Zasadnicza architektura wnętrza i bryły pozostała taka sama. Najciekawsze jest to, że gdy kino zamknięto w 2011 roku, wnętrze

nadal zachowało wiele elementów pochodzących z minionych czasów, przez co wyglądało niemal jak kapsuła czasu, gotowa dekoracja do kręcenia filmów z czasów PRL. Tak właśnie działa magia kina.

Jako mała dziewczynka chodziłam na kreskówki Walta Disneya, których bohaterami byli Myszka Miki i Kaczor Donald. Przeżywałam przygody „Piotrusia Pana”, zachwycalam się krasnoludkami z „Królowny Śnieżki”. Później zostałam członkinią Dyskusyjnego Klubu Filmowego, obejrzałam filmy Federico Felliniego, Akiry Kurosawy, Ingmara Bergmana, Andrzeja Wajdy i Krzysztofa Kieślowskiego. Pamiętam jeszcze czasy świetności kina, gdy brakowało biletów na seans, kupowało się je za niebotyczne kwoty od „koników”. Sala była przepelniona, a niektórzy widzowie siadali nawet na schodach.

Gdzie te czasy? Kino „Przodownik” od piętnastu lat pozostaje zamknięte i stopniowo popada w ruinę. W grudniu 2025 roku miasto Wrocław odkupiło zabytkowy budynek przy al. Hallera 15 od prywatnego właściciela z zamiarem przywrócenia go mieszkańcom. Oby stało się to jak najszybciej, bo moja miłość do kina nie przeminęła, choć dzisiaj z powodu chorych nóg i skrzywionego kręgosłupa coraz trudniej jest mi wysiedzieć na seansie. Z bólem przyznaję, że chodzę już tylko na wybrane filmy – prawdziwe *crème de la crème*. Za to z zapalem czytam recenzje i jestem subskrybentką newslettera „Nowych Horyzontów”. Z zainteresowaniem śledzę wszystkie filmowe wydarzenia, wiem jednak, że nic nie zastąpi sali kinowej. Tylko tam można w pełni zanurzyć się w filmowej opowieści, zapomnieć o codzienności i przeżywać historię razem z bohaterami. Tę wyjątkową miłość do kina noszę w sobie do dziś.

I chyba właśnie dlatego, choć świat się zmienił, a ja coraz rzadziej mogę usiąść w kinowym fotelu, wciąż wierzę, że nic nie zastąpi emocji towarzyszących wspólnemu oglądaniu filmu na dużym ekranie.



Larysa Wegneris

Adresy, których już nie ma



Gdyby dzieciństwo miało adres, mój byłby prosty: Wrocław, Sępolno, tam, gdzie ogrody były labiryntem prowadzącym do skarbu, a klatka schodowa pałacem.

Dla innych to była dzielnica, dla mnie cały wszechświat. On szumiał drzewami i tak szumiało moje dzieciństwo.

Zaczynało się o poranku, gdy przez okno mojego pokoiku patrzyłam na rozłożysty klon. Cały szpaler tych drzew przy ul. Partyzantów, o jaskrawo zielonych liściach wiosną i zjawiskowo przebarwionych jesienią, dawał obietnicę, że świat będzie piękny, przyjazny, a w tej bujnej zieleni wszystko jest możliwe.

Już same zapachy bzów, jaśminów i kwiatów hodowanych w ogródkach naszych mam zawracały moją dziecięcą głowę, w której rodziły się myśli o zabawach, tajemnicach, sekretach zakopywanych płytko w ziemi i przykrywanych kawałkiem szkiełka. Ileż emocji budziło stopniowe odkopywanie tych sekretów. Czegóż tam nie było! Koraliki, muszelki, złotka od czekolady. Cuda, cuda, prawdziwe i wyimaginowane.

A zimą, gdy biały puch przykrywał wszystko śnieżną czapą, wyciągało się łyżwy i sanki i bawiło do utraty tchu, do wieczora, kiedy to z

okien dolatywały nawoływania naszych mam. „Marysia! Ania! Do domu!”.

Najlepsze lodowisko było w parku Szczytnickim przy Pergoli. Jest Pergola, jest stawek z fontanną multimedialną, ale nie ma lodowiska. Szkoda, że wiele adresów dzieciństwa jest już nieaktualnych.

Miasto zmienia adresy wspomnień. Zostawia ulice, ale odbiera miejsca, w których mieściło się dzieciństwo.

Niektóre z nich pozostały. Ale większość niestety zdmuchnęła nachalna współczesność.

Kino „Światowid” z modernistyczną wieżą, górującą nad tym fragmentem Sępolna. Dziś odzyskało dawną funkcję – kościoła ewangelickiego. Wtedy, w latach 50-tych przebudowano je na potrzeby kina. Wieża jednak została w pierwotnym kształcie.

Kawiarenka, zwyczajowo tak nazywana, niedaleko kina, nie była żadną kawiarenką. Ot, zwykły sklepik cukierniczy. Jednak utarło się, że to kawiarenka.

Przed seansem filmowym kupowałam tam kolorowe kamyczki – orzeszki arachidowe w cukrowej polewie. Poezja smaku. I co z tego, że palce kleiły się od cukru w kolorach tęczy.

W niedzielę rodzice prowadzili młodsze dzieci na poranki. Czy ktoś dzisiaj wie, co to jest poranek?

Kino było prawdziwą magią. Dawkowane z umiarem, budziło szacunek i kojarzyło się ze świętem.

Tu właśnie pewna nadgorliwa pani bileterka, odmówiła mi wejścia na seans, ponieważ film był dozwolony od 12 lat, a ja miałam 11,5, co

złośliwie potwierdzała szkolna legitymacja. Jeszcze dziś pamiętam to poczucie krzywdy, które mnie wtedy przepelniało.

W ciągu sklepików i innych lokali użytkowych była mała „kanciapka”, gdzie urzędowała pani repasarka. To była specjalistka od... „podnoszenia oczek” w pończochach. Dziś zniknął nie tylko ten zawód, ale i język, który go opisywał. A razem z nimi odszedł świat, w którym rzeczy częściej naprawiano niż wyrzucano.

Jedno z miejsc otoczonych uwielbieniem, zwłaszcza przez dzieci, to mała piekarnia. Mieściła się na rogu ul. Dembowskiego i 9-tego Maja. Dzisiaj 8-go Maja. Wypiekała precle pokryte tajemniczą, słoną masą. Cóż to były za precle! Jeśli gdzieś istnieje przepis na nie, to pozostał jedną z tajemnic Sępolna. Nigdy więcej na takie nie trafiłam. Nie ma już piekarza i nie ma tych precli.

Ogrody na tyłach domów. Każde dziecko zasługuje na takie dzieciństwo. Niekończąca się inspiracja do zabaw, sekretów, kryjówek i kreatywności. Budowaliśmy szałas z koców, często utrzymujących się na jednym kiju. Nie był to stabilny dom, ale zawsze jakiś. Przedsmak dorosłego życia. Nasze mamy spuszczały na sznurku z balkonu, w papierowej torbie – wielkie, podwójne pajdy chleba ze smalcem, pokrojone w zgrabną kostkę – tak na jeden kęs. W drugiej turze pojawiał się kompot rabarbarowy w szklanej butelce. Więc był szałas, jedzenie i picie. Czegóż chcieć więcej. Próbowalam kiedyś odtworzyć ten smak w dorosłym życiu. Nie udało się. Może zabrakło rąk mamy. A może do tego potrzebna jest magia Sępolna.

Do tramwaju trzeba było dojść ul. Cmentarną. To była mała uliczka, przy której przykucnął niewielki niemiecki cmentarzyk. W zasadzie nie wadził nikomu. Ale kto to wie, co mogło wydarzyć się w takiej scenerii, gdzie wyobraźnia pracowała szybciej niż rozsądek.

Nie ma już uliczki ani cmentarza. Czasem tylko jak wspominam, to czuję ten dreszcz, który przywiewa dzieciństwo.

Na szczęście jest długa aleja wysadzana forsycjami przy ul. Dembowskiego. To była moja codzienna droga do liceum na Spółdzielczej. Ten złoty deszcz w okresie kwitnienia czaruje jak kiedyś następne pokolenia. Chociaż tam, gdzie był tzw. małpi gaj, czyli miejsce, gdzie rosły przedziwnie powyginane karłowate drzewa, stało się osiedle mieszkaniowe.

Zapytano mnie kiedyś, co słyszę, zagłębiając się w te wspomnienia. Otóż słyszę ciszę. Tę komunikacyjną. W mojej dzielnicy – ogrodzie, jak często określało się Sępolno, panował swoisty mikroklimat spokoju. Przekraczając mosty Śródmieścia wchodziło się do innego świata. Ten świat zachwycał zielenią, nienaruszoną konstrukcją architektoniczną i ciszą, z dala od zgiełku dużej metropolii i ruin centrum.

W moim obszarze tej dzielnicy nie było tramwajów. Nie było też samochodów. Przynajmniej w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i latach sześćdziesiątych. Z rzadka jeździły ciężarówki z zaopatrzeniem. Wcześniej rano mleczarka pobrzękiwała metalowymi bańkami. A potem tylko głosy bawiących się dzieci i szum drzew.

Może właśnie dlatego pamiętam Sępolno tak wyraźnie – miało swój własny rytm. Dorastaliśmy tam razem z drzewami, porami roku i sąsiedami. Dzisiaj miasta są coraz głośniejsze, ale coraz trudniej usłyszeć w nich własne życie.

Pamięć miasta to nie tylko pamięć murów. To także pamięć ludzi, którzy musieli przenieść tu swoje utracone małe ojczyzny i zbudować nowe. To oni stanowili swoisty koloryt miasta.

Przywieźli swój akcent, obyczaje, kuchnię, wiedzę i doświadczenia. A przecież wszyscy się dogadywali. Tworzyliśmy zintegrowaną społeczność, żyjącą w przyjaźni i wzajemnej sąsiedzkiej życzliwości.

Moi nauczyciele w szkole, a później kadra akademicka, częściowo rekrutowali się z lwowskich uczelni. To oni głównie organizowali początki oświaty w powojennym Wrocławiu.

Byli ludźmi niezwykłego formatu. Ich erudycja i przedwojenna elegancja budziły naturalny szacunek.

Mój dawny dom, a właściwie mieszkanie stoi na starym miejscu. Czasem mam okazję tam przejeżdżać. Zaglądam w okna. W moim dawnym pokoju wisi firanka. Całkiem inna.

Myślę o ludziach, którzy przyszli po nas. Dla nich ten sam klon, te same okna i te same ulice to zupełnie inna opowieść. Ale miasto pamięta. Tę naszą i tę następną.

Zastanawiam się, czy możliwe są powroty do dawnych, sentymentalnych adresów. Gdybym miała okazję tam ponownie zamieszkać...

Czy warto wracać do miejsc, które pamiętamy bardziej sercem niż wzrokiem? Czy powroty to zawracanie kijem Wisły? Utracony raj może musi być utracony, żeby nim pozostał.

Ale jeden dzień z tamtych dni... Czy da się tam gdzieś na górze wynegocjować?



Anna Lichuta

Moje Karłowice



W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku, jadąc od centrum w stronę Karłowic, tuż za Mostem Trzebnickim jezdnia rozwidlała się na dwie: w prawo – dając początek ulicy Żmigrodzkiej i w lewo – rozpoczynając ulicę Obornicką. Pośrodku, w samym narożniku, była stacja benzynowa CPN. Po prawej stronie mostu tory tramwajowe zakręcały, tworząc pętlę tramwajową dla linii 1, 7 i 15, wyraźnie mniejszą niż dzisiaj. Po lewej, wzdłuż Odry i rzędu dębów na wale, aż do Mostu Osobowickiego biegła ulica Na Polance, a prostopadłe do niej stały trzy szare ponemieckie bloki. W jednym z nich mieszkałam wraz z rodziną.

Jako dzieci mieliśmy duży obszar do zabawy: polacie łąki nad Odrą, przestrzenie pomiędzy naszymi blokami, koślawą ulicę Pieszą, rząd krzewów morwy czarnej i białej, na które chętnie wchodziliśmy i objadaliśmy się słodkimi owocami, i dalej – szyny kolejki wąskotorowej, która biegła od okolic Mostu Osobowickiego w kierunku Trzebnicy. Za kolejką był nieduży stadion sportowy, a że mecze nie odbywały się tam zbyt często, stał się on dla nas kolejnym terenem do zabaw.

Jako że byłam samodzielną i rezerolutną dziewczynką, do przedszkola położonego na Kasprowicza koło Wieży Ciśnień chodziłam sama. Moja

droga zaczynała się praktycznie od szyn kolejki wąskotorowej, zwanej przez nas ciuchcią. Szyny te stawały się dla dzieci wspaniałą równoważnią do ćwiczeń, a gdy tylko ciuchcia dała głos, jadąc od mostu, wszyscy zeskakiwali z nich i odsuwali się, by mogła bezpiecznie przejechać.

Idąc do przedszkola przechodziłam ulicę Obornicką i powracałam na szyny, po lewej stronie widziałam ogródki działkowe, a po prawej poletko kukurydzy. Gdy doszłam do ulicy Żmigrodzkiej i przeszłam na drugą stronę, zawsze przystawałam koło pętli, a ściślej koło kilku świerków posadzonych tam, gdy miałam sześć lat. Na początku były równe z moim wzrostem, ale szybko zaczęły mnie przerastać. Lubiałam przystawać koło nich i zadzierać głowę do góry, spoglądając na ich wierzchołek. Skręcałam w lewo i mijając kilka sklepów, dochodziłam do ulicy Kasprowicza, a tam już sama nuda: prosto i prosto aż do końca. Oczywiście było po drodze mnóstwo uliczek do przekroczenia z zachowaniem oczywistej procedury „najpierw popatrz w lewo, potem w prawo i znów w lewo”, ale to było nudne, bo jeździło mało samochodów. Wzdłuż ulicy stało (i stoi do tej pory) wiele dużych poniemieckich willi, jednak było tam niewiele dzieci – nie to co u nas, w blokach. Po drodze mijałam też franciszkański kościół i szkołę – Liceum nr X, którą później przeniesiono do nowej lokalizacji, a szkolny budynek zwrócono franciszkanom. Nieco dalej był niewielki park, szpital i straż pożarna. To wszystko, poza szpitalem, jest tam do dzisiaj. Tylko pobliski plac Gotwolda zmienił nazwę na plac Piłsudskiego.

Chciałam napisać, że wciąż jest to miła i spokojna dzielnica, ale przecież tu często błogą ciszę przecinają głośnie syreny karetok pogotowia

(ostre dyżury szpitala przy ul. Kamieńskiego i ul. Koszarowej), straży pożarnej i policji (z placu Piłsudskiego). Ja jednak przywykłam, dla mnie jest to naturalna część mojego miasta.

Po latach zniknęła kolejka wąskotorowa (i wszystkie morwy), a zamiast niej pojawiła się przedłużona linia tramwajowa – wzdłuż ulicy Żmigrodzkiej aż do Poświętnego. W latach siedemdziesiątych wybudowano osiedle „Polanka”, a wraz z nim skasowano stację benzynową i początek Obornickiej. Dawna szutrowa droga łącząca ulicę Żmigrodzką z Obornicką, biegnąca pomiędzy ogródkami działkowymi, stała się prawdziwą ulicą o nazwie „Broniewskiego” i połączyła Kasprowicza z Obornicką. Zniknęły też ogródki działkowe.

Dzisiaj jest to ładny kawałek miasta. Gdy spoglądam na nie z poziomu mojego 11 piętra (na osiedlu Polanka), dusza mi się raduje. Karłowice nadal są zanurzone w zieleni, Polanka tętni ciągle ulepszanymi rozwiązaniami komunikacyjnymi, tramwaje jeżdżą dużo ciszej niż kiedyś. Wokół jest więcej sklepów, banków, aptek. Tylko po Odrze nie płyną już barki, chociaż po powodziach zrobiono rewaloryzację wałów i koryta rzeki. Trochę szkoda, ale widocznie ten rodzaj transportu przestał się komuś opłacać.

Dzisiaj często chodzę wałami Odry coraz dalej i dalej, zaliczając po drodze coraz więcej mostów. Ciekawe, czy jest w Polsce gdzieś drugie miasto z taką ilością rzek i ich odnóg, i mostów oczywiście? Nie sądzę. Dlatego tu jest tak pięknie.

Bożena M.

32 lata na Niemcewicza



Impresja 1

Ulica Niemcewicza z lat 60. to spokój, mało samochodów, mało przechodniów, nie ma tu sklepów. Dopiero dochodząc do ul. Pobożnego, z którą moja ulica się krzyżuje, możemy poczuć dochodzący z piekarni zapach świeżo upieczonego chleba, a z drugiej strony – zapach warzyw i owoców wystawionych w skrzynkach przed sklepem pana Jurka.

Jeden narożnik tego skrzyżowania pozostawał ciągle pusty od czasu wojny i usunięcia ruin, a na przeciwległym stała narożna kamienica, na której elewacji wciąż widoczne były dziury po kulach, układające się w poziome linie poniżej ciągu okien na poszczególnych piętrach. Przez całe dzieciństwo obcowałam z takimi pozostałościami wojny i nie było to dla mnie nic dziwnego.

Potem wolne miejsca zaczęły się zapelniać, a na ulicy pojawiły się zaparkowane samochody, m.in. mój pierwszy „maluch”, Fiat 126p.

Impresja 2

Niemcewiczka nie jest ulicą prostą, ma dwa łagodne łuki, co daje w efekcie rozciągniętą odwróconą literę S. Nasze mieszkanie znajdowało się w tej części kamienicy, która stała na pierwszym łagodnym łuku ulicy.

Do bramy wchodziło się przez duże drewniane drzwi, zawsze otwarta pozostawała tylko połowa. Na wprost znajdowało się wyjście na podwórko. Pierwszy bieg schodowy miał 11 stopni i lekkim łukiem wchodziło się na tzw. półpiętro z oknem na podwórko. Kolejne biegi na piętra i półpiętra miały po osiem stopni. Na każdym piętrze były trzy mieszkania i tak dochodziło się na trzecie piętro, do naszego mieszkania nr 9.

Miało ono dziwny układ – bardzo długi korytarz, po jednej stronie kuchnia, ubikacja, mój pokój, a na samym końcu, po drugiej stronie, tzw. duży pokój z balkonem. Dzięki położeniu mieszkania na łuku, z balkonu widać było ulicę w jedną stronę – do Pobożnego, a w drugą – do skrzyżowania z Jagiellończyka, na którym stał poniemiecki, okrągły słup ogłoszeniowy.

Efektem takiego położenia naszego mieszkania był mój nietypowy pokój. Nie miał żadnych dwóch równoległych ścian – zamiast czterech ścian i czterech kątów prostych miał sześć ścian i różne kąty między nimi. To, co w dzieciństwie wydawało mi się zupełnie naturalne, odkryłam jako ciekawostkę dopiero dzięki nauce geometrii w szkole i nawet się tym chwaliłam.

Teraz wiem, że było to bardzo skromne mieszkanie z kaflowymi piecami na węgiel, bez łazienki, a początkowo nawet bez ciepłej wody. Odkąd pamiętam, mieliśmy jednak termę założoną przez mojego Tatę. Na łazienkę niestety nie wystarczyło miejsca.

Ale dzięki temu umiem palić w piecu, co przydało się na różnych wyjazdach, gdzie panowały spartańskie warunki noclegowe.

Impresja 3

Balkon naszego mieszkania był półokrągły, z balustradą opartą na ładnych kamiennych kolumnkach. Stał na nim poniemiecki, duży fotel wiklinowy, w którym lubiła siedzieć moja Mama. Pamiętam, że jako dziecko bawiłam się na kocu rozłożonym na pozostałej części balkonu. Potem, już jako nastolatka, a nawet później, często wykorzystywałam ten fotel do opalania.

Z naszego balkonu widać było na wprost, za boiskiem szkolnym, Kościół pw. Opieki św. Józefa, tzw. „okrągłak”. Teraz jest to już niemożliwe, bo miejsce po zniszczonych kamienicach przy ul. Olbińskiej zappełniły nowe budynki.

W dzieciństwie, znając tylko ten kościół, myślałam, że wszystkie kościoły są okrągłe i mają piętra, na których można przebywać. Potem zobaczyłam inne kościoły – na Ostrowie Tumskim i Starym Mieście – i zrozumiałam, że ten nasz był ewenementem. Jeszcze później dowiedziałam się dlaczego – przed wojną był to kościół protestancki.

Widok z naszego balkonu miał jeszcze inne, bardziej prozaiczne znaczenie. Naprzeciwko kościoła, po drugiej stronie ulicy, znajdował się

postój taksówek. Można było sprawdzić, czy i jak długa jest kolejka czekających, i z wyprzedzeniem pójść zająć miejsce. Miało to znaczenie w przypadku konieczności jazdy z bagażem na dworzec kolejowy.

I to nie żart – na postojach ustawiały się kolejki, bo taksówek było mało i na dodatek musiały przyjechać na ten właśnie postój. Pamiętam, jak miałam jechać do Warszawy, a Tato stał na postoju już wtedy, kiedy moja walizka jeszcze nie była zamknięta. Oczywiście z balkonu można było na bieżąco śledzić sytuację na postoju.

Impresja 4

Przed chwilą w telewizji pojawiła się reklama wyprawki szkolnej i nagle wróciło kolejne wspomnienie z dzieciństwa, z lat szkolnych.

Sklep papierniczy przy ul. Kilińskiego, która dochodziła do ul. Jedności Narodowej, na wprost początku Niemcewicza. Mieścił się na parterze nieistniejącej już poniemieckiej kamienicy – teraz jest tam tzw. plomba.

Wtedy niczego nie kupowało się na zapas przed rozpoczęciem roku szkolnego. To na pierwszych lekcjach w Szkole Podstawowej nr 93, oczywiście przy ul. Niemcewicza, panie nauczycielki dyktowały, co będzie potrzebne i co trzeba kupić. Może w pierwszych klasach to rodzice robili te zakupy, ale pamiętam, że później już sama chodziłam do tego sklepu z taką właśnie kartką, na której zapisane były potrzebne artykuły szkolne. Zeszyty w kratkę, w linie, czyste, papier kolorowy, bibuła karbowana, bibuła gładka i do tego podane ilości i kolory – cuda, cuda.

Wiadomo, że niektóre potrzebne rzeczy miało się w domu z poprzednich lat – farby, pędzelki, kredki, ołówki, chociaż czasami i to trzeba było dokupić.

I tu pojawia się kolejne wspomnienie – kredki, które Tato kupił mi w komisie, też obok, bo na Jedności. Piękne, rozkładane pudełko oklejone niebieskim płótnem, a w nim chyba z 50 kolorów! Wiele lat potem dowiedziałam się, że nie były to kredki ze „zgnilego Zachodu”, choć kupione w komisie, ale z Czechosłowacji, z firmy Koh-i-Noor, istniejącej do dzisiaj. Gdy w czasie studiów jeździłam do Pragi, w ich sklepie firmowym kupowałam rzeczy potrzebne do rysowania projektów.

Naprzeciwko sklepu papierniczego, na rogu Kilińskiego i Jedności, znajdowały się Delikatesy. Przed wojną też był to sklep, bo zachował się układ wnętrza, lady, półki i coś, co wzbudzało mój zachwyt – filary z lustrami.

To był piękny, przestronny sklep z różnymi stoiskami. Strop podtrzymywały filary, do wysokości około 1,5 metra obłożone boazerią, a nad nią były lustra, w których odbijało się wnętrze sklepu i światło oświetlających je lamp. Boazeria zdobiła też ściany sklepu.

Mama wysyłała mnie tam z paczką kawy ziarnistej, a pani na stoisku mielila tę kawę w dużym, srebrnym, stojącym na ladzie młynku. Kawę wsypywała od góry, torebkę przyczepiała na dole, naciskała guzik i rozlegał się głośny szum. I oczywiście wspaniały aromat mielonej kawy!

Na przeciwległym rogu tych dwóch ulic mieścił się sklep firmowy Wedla i to stamtąd pojawiały się w naszym domu torciki wafłowe. Istnieją do dzisiaj i nawet mają niezły smak, ale brak im teraz tak pięknego

opakowania jak wtedy. Pakowano je w cudne, okrągłe (sic!) pudełka z wystającym rantem i granatowymi napisami na białym tle. W tych pudełkach, kiedy były już puste, przechowywałam swoje różne „skarby”.



Stefanka

Miasto z rodzinnej legendy



Joasia od zawsze czuła się Wrocławianką, a był to zapewne efekt rodzinnej legendy, którą od dziecka karmiła ją mama, repatriantka z Polesia – opowieści o pradziadku Andrzeju, Ślązaku urodzonym w Breslau.

W dzieciństwie dziewczynka odwiedzała Wrocław regularnie. Były to krótkie wizyty, z których pamiętała wrocławskie dworce: Główny i Świebodzki, lodziarnię w pobliżu kina „Śląsk”, ulicę Świdnicką z domem towarowym „Renoma” i operą, Rynek z ratuszem, Halę Targową, Ostrów Tumski, Ogród Zoologiczny oraz Iglicę przy Hali (wówczas) Ludowej.

Po maturze Joasia przeniosła się do stolicy Dolnego Śląska na stałe. Początkowo zamieszkała na stacji, z koleżanką z roku dzieliły pokój w mieszkaniu na pierwszym piętrze oficyny przy ulicy Stanisława Dubois 16. Pokój był duży i wygodny, niestety dość ciemny, gdyż jedyne okno wychodziło na ponure podwórko – studnię, pozbawione zieleni, bez choćby jednego źdźbła trawy. Jediną ozdobę tej wąskiej, martwej przestrzeni między szeregami kamienic i oficyn, stanowił rozłożysty dąb. Jesień 1972 roku przyszła dość wcześnie i kiedy Joasia wprowadzała się na kwaterę, drzewo pyszniło się już kolorowym płaszczem liści.

Budynek stał na skrzyżowaniu z ulicą Pomorską, naprzeciw bramy wejściowej do oficyny znajdował się przystanek tramwajowy. Już pierwszej nocy z głębokiego snu wybudził Joasię wysoki, ostry, zgrzytliwy dźwięk – coś jak odgłos ostrza noża sunącego po szkle.

Napad?! Włamanie?! – podpowiadał przerażony umysł. Ciałem dziewczyny wstrząsnęła fala dreszczy, serce tłukło się w piersi jak oszalałe, a ręce pokryła gęsia skórka. Ze strachu bała się ruszyć. Po chwili przeraźliwe dźwięki zaczęły się oddalać, aż wreszcie zanikły w oddali. Wraz z nastaniem ciszy emocje opadły, wróciła jasność umysłu, a dziewczyna skonstatowała z ulgą: – To tylko nocna „zerówka” skręcała w Pomorską!

Te pobudki zdarzały się w pierwszych tygodniach z regularnością rozkładu jazdy nocnego tramwaju. Z czasem Joasia przywykła do tego specyficznego hałasu, a zgrzyty i jęki starego taboru na rozjeździe przestały zakłócać jej sen.

Samotne powroty do domu z późno popołudniowych zajęć również nie należały do przyjemnych. Wejście do oficyny prowadziło przez przechodnią bramę kamienicy od frontu. Był to ciemny tunel drażniący nozdrza fetorem uryny, niepokojący obecnością koneserów taniego trunku nabywanego w sklepie winno-cukierniczym sąsiadującym z przejściem, a często też brzękiem szkła, gdy butelka, wysmyknąwszy się z umęczonej dłoni konsumenta, z trzaskiem rozbijała się o beton. Był to świat, którego Joasia wcześniej nie знаła. Dlatego starała się pokonać tę przerażającą przestrzeń na jednym wdechu, z pochyloną głową wtuloną w ramiona, byle tylko nie sprowokować któregoś z cieni kryjących się w

czeluści bramy. Pewnego razu zatrzymał ją chrapliwy głos jednego z nich: – Panienka się nie boi!

A potem ten sam głos skierowany do ferajny wyjaśnił: – To panienska studentka, z pierwszego piętra, od tych miłych Lwowianek.

I dodał, ponownie zwracając się do dziewczyny: – Dobry wieczór, panience.

Strach minął jak ręką odjął. Joasia odpowiedziała grzecznie na powitanie, a idąc przez podwórko pomyślała: wrocławski batiar też swój honor ma. Od tej pory brama nie zniknęła z jej drogi, ale przestała być anonimową czeluścią; stała się miejscem, w którym ktoś ją rozpoznawał i traktował jak swoją.

Z nastaniem jesiennych chłodów przyszło Joasi zmierzyć się z kolejnym wyzwaniem – należało zejść do piwnicy po węgiel i drewno na opał. Konieczność przynoszenia opału oraz palenia w piecu nie była dla niej niczym nowym. W rodzinnym domu też były piece kaflowe, tyle że piwnica oficyny przy Dubois 16 nie przypominała w niczym tej znanej. Przywodziła raczej na myśl kazamaty z gotyckich powieści grozy: głęboka, ciemna i zimna, cuchnąca wilgocią i pleśnią. Wiodły do niej wąskie, nierówne schody z na wpół skruszałych cegieł, zamiast posadzki mieszanina piasku, popiołu i gruzu, miejscami błotnista. W piwnicy nie było instalacji elektrycznej. Do właściwego boksu zaprowadziła Joasię gospodyni, oświetlając drogę ogarkiem umieszczonym w świeczniku z uchwytem. Świecznik kształtem przypominał sosjerkę. Dziewczyna miała wrażenie, że słyszy szmery, szuranie i popiskiwanie.

– Czy tu są szczury? – wydusiła schrypniętym głosem. Twierdząca odpowiedź przewodniczki sprawiła, że kolejne wyprawy po węgiel Joasia odbywała wyłącznie w towarzystwie swojej współlokatorki.

Główne lokatorki mieszkania, u których Joasia podnajmowała pokój, dwie owdowiałe siostry pochodzące ze Lwowa, były tak diametralnie różne fizycznie i osobowościowo, że aż trudno było uwierzyć w ich pokrewieństwo. Starsza z nich – mała babcia – niziutka, zażywna staruszka energicznie kręciła się po mieszkaniu jak okrągłutki bączek. Siwiuteńkie włosy starannie upięte w ciasny koczek na czubku głowy, filuterny uśmiech na twarzy i czyste, błękitne oczy, którymi zdawała się prześwieślać rozmówcę na wskroś. Młodsza z sióstr – duża babcia – była wysoka i postawna, poruszała się z dystyngowaną gracją. Ciemne, przetykane siwizną, splecione w gruby warkocz włosy zwiјаła w koronę na karku. Ciepłe spojrzenie dużych, okrągłych oczu o barwie mlecznej czekolady sprawiało, że Joasia czuła się akceptowana i bezpieczna. Tym, co łączyło siostry, była kresowa polszczyzna, śpiewna intonacja, miękkość spółgłosek i charakterystyczne dźwięczne *h* oraz zębowe *ł*, a także kultura osobista i szacunek dla młodych lokatorek. Obie panie czuły się odpowiedzialne za dobrostan *panienek*, ale nie były wścibskie. Oczekiwały od dziewczyn przestrzegania ustalonych w umowie zasad, były jednocześnie otwarte na zmiany w uzasadnionych przypadkach.

Joasia zachowała w pamięci czas spędzony pod ich dachem, z ogromnym sentymentem wspomina *lekcje* gotowania i pieczenia, a także celne podpowiedzi na temat rozsądnego zarządzania skromnym budżetem. To była dla dziewczyny prawdziwa szkoła samodzielnego życia.

Dopiero po latach Joasia zrozumiała, że pierwsze miesiące przy Dubois 16 były czymś więcej niż początkiem studiów. To wtedy Wrocław przestał być miastem z rodzinnych opowieści, a stał się przestrzenią próby: miejscem, w którym uczyła się odwagi, samodzielności i tego, że nawet w obcej, szorstkiej codzienności można odnaleźć ludzką życzliwość.



Małgorzata Górecka

Wrocław smacznie pachnący



Wrocławianką jestem od 60 lat. Gdy myślę o moim mieście, w mej pamięci rozwija się mapa pełna nie tylko ulic, budynków, zabytków, ale również miejsc, które kojarzą mi się ze smakiem i zapachem. Wyruszam na wędrowną szlakiem tych, które mają dla mnie szczególne znaczenie.

Pierwsze pachnące miejsce zajął w moim ósmioletnim wówczas sercu Południowy Most Pomorski. W lewej strażnicy mostowej mieścił się sklepik ze słodyczami i napojami. Całe kieszonkowe wydawałam na „myszki”, zrobione z bardzo gęstego, słodkiego, czerwonego krochmalu, obtoczone w cukrze pudrze. Później w tym miejscu sprzedawano polskie miody, nie wiem, co obecnie się tam mieści.

Mijały lata, wraz ze zmianami miejsc zamieszkania i szkołami, moja kulinarna mapa Wrocławia wzbogacała się o kolejne smaczne miejsca. Gdy chodziłam do XII LO, ścieżka z mieszkania do szkoły prowadziła przez ulicę Nabycińską. W połowie lat siedemdziesiątych otwarto tam kultową plackarnię. Przez ponad trzydzieści lat ustawiały się kolejki po pyszne, gorące i chrupiące placki ziemniaczane z różnymi dodatkami i frytki talarki. Wracając ze szkoły, zgłodniała po lekcjach, wpadałam tam z koleżankami, potem w domu mamy dziwiły się, że nie jesteśmy głodne.

Czasy licealne to także miejsca, w których spotykaliśmy się z przyjaciółmi, dyskutowaliśmy o sprawach wielkiej wagi. Ciepłą przystanią stała się dla nas herbaciarnia „Herbowa” w Rynku. Zwyczajem naszym było wstępowanie tam po łyżwach na Torpiaście. Pierwszy raz jadłam wtedy krem sułtański, do tego herbata, często z rumem. Nikogo nie interesował fakt, że byliśmy niepełnoletni.

Problemów także nie stwarzała obsługa winiarni „Bachus”, również w Rynku. Tam przy lampce wina toczyliśmy długie rozmowy o życiu, świecie, miłości. Naszym ulubionym stolikiem był ten w średniowiecznej piwnicy. Pamiętam, jak poszliśmy w siedem osób na lampkę wina, pani kelnerka powiedziała, że tylko do konsumpcji. Przeliczyliśmy fundusze – starczyło na sernik i siedem widelczyków. Niestety, około dwudziestej trzeba było się ewakuować, gdyż zaczynał się schodzić wrocławski półświatek, dość szemrane towarzystwo.

Kolejnym miejscem, szczególnie często wspominanym, jest istniejący do dziś koktajl bar „Witaminka”. Najbardziej lubiliśmy stół w niszy, na lewo od wejścia.

Gdy podczas nauki u przyjaciółki dopadł nas głód, szliśmy do baru „Wiking” przy ulicy Świerczewskiego, koło placu PKWN. Teraz jest to bar mleczny, w latach siedemdziesiątych była to raczej placakarnia i pyszne domowe frytki.

Tak oto od czasów licealnych przechodzę do okresu studiów na Politechnice Wrocławskiej. Częściej odwiedzało się gastronomiczne lokale, nie tylko z jedzeniem. Na kawę i drinka można było zajrzeć do kamieniczki Małgosia, by posiedzieć trochę w klimatycznym,

średniowiecznym wnętrzu. Gdy na mieście dopadał głód, nogi same niosły do baru „Witek” na pyszne tosty, pełne masła, sera i wręcz wysypujących się pieczarek. Teraz prowadzi go kolejne pokolenie, a tosty są tak samo niesamowicie dobre.

Alternatywą dla „Witka” był bar w przejściu podziemnym przy ulicy Świdnickiej, tamte tosty już nie tak pyszne, ale za to można było napić się gorącej czekolady. Również na Świdnickiej, naprzeciwko Opery, była cukiernia „Babeczka”. Gdy pod koniec miesiąca finanse nie chciały się spinać, ratunkiem stawał się bar „Złota Kurka” należący do Caritasu, który zyskał miano kultowego. Naprawdę pyszne obiady, domowe, na każdą, nawet studencką, kieszeń.

Czas moich studiów to biedne, zgrzebne lata kartek na mięso. Miano kultowych zyskiwały takie miejsca, gdzie za niewielkie pieniądze można było zjeść potrawy również mięsne.

Wspominam słynny, nieistniejący już bar „Tempo”. Życie ratowała też znana wśród studentów stołówka Politechniki. Stąd już tylko rzut beretem do cukierni na pączka. Cukiernię tę, z racji lokalizacji obok zakładu pogrzebowego, nazywano żartobliwie „Pod trumienką”. Smak pączków pamiętam do dziś, rzadko poprzestawałam na jednym.

Z sentymentem wspominam nieistniejące już lokalizacje i chętnie odwiedzam te, które przetrwały. Cieszę się, że oprócz wszechobecnych fast foodów, znalazły sobie miejsce lokale z duszą, mające w sobie to coś.

Na podstawie tego, co opisałam można by wyciągnąć wnioski, że kiedyś to było... Ale dziś też mam ulubione miejsca.

Należy do nich bar „Beef Burger” na wrocławskim Ołtaszynie, Trattoria „Siesta Nuova” przy ulicy Ślicznej, bistro „Sama Rozkosz” na Zwycięskiej, „Pepe Ristorante” na Strachowskiego.

Może kiedyś niektóre z nich też ktoś będzie wspominał jako kultowe.



Krystyna Tracek-Majchrzycka
Lodowisko, rock i wspomnienia



Kiedy rozpoczęłam studia na Wydziale Prawa i Administracji, wśród obowiązujących przedmiotów było „Wychowanie fizyczne”. Miałam do wyboru godzinę na lodowisku lub pływalni oraz godzinę obowiązkowych zajęć w sali. Wybrałam lodowisko, ponieważ bardzo dobrze jeździłam na łyżwach, na których uczyłam się jeździć od najmłodszych lat na górkach, zamarzniętych stawach.

Zajęcia odbywały się na nieistniejącym już dziś lodowisku Torpiast przy ul. Księcia Witolda. Powstało ono w 1966 r. i było pierwszym sztucznym lodowiskiem we Wrocławiu, które mogło pomieścić dużo osób. Trenowali tam hokeiści klubu Dolmed ze świetnej drużyny drużyny drużyny.

Z tym lodowiskiem wiążą się moje najwspanialsze wspomnienia. Uwielbiałam jazdę na łyżwach, tym bardziej że po raz pierwszy dostałam profesjonalne łyżwy z białymi butami. W domu miałam tylko łyżwy przykręcane do zwykłych butów za pomocą specjalnego klucza. Zajęcia prowadził trener z Akademii Wychowania Fizycznego – bardzo miły i profesjonalny. Moja koleżanka Maria chciała jeździć ze mną w parze, choć nigdy wcześniej nie jeździła na łyżwach. Bez przerwy zaliczałyśmy

wywrotki. Maria miała 176 cm wzrostu i była mistrzynią Uniwersytetu w pchnięciu kulą i rzucie oszczepem, ja zaś – 160 cm wzrostu i bardzo szczupła. Nie byłam więc w stanie uchronić jej przed kolejnymi upadkami.

W tym samym czasie zajęcia na lodowisku mieli studenci z Akademii Wychowania Fizycznego. Świetnie jeździli i trenowali taniec w parach. Śmiali się z nas, a ja byłam zła. Kiedy trener zauważył, że ja również dobrze jeżdżę, przeniósł mnie do ich grupy. Wtedy poczułam, czym jest prawdziwa przyjemność jazdy na lodzie – zimny, równy lód, kilka mocnych odbić, ciało nisko, ręce splecione za plecami – ostry, pewny łuk. Potem drugi, coraz szybciej, aż ślady moich łyżew cięły lód cienkimi liniami. Pamiętam tamten mróz i prędkość, a także tamtych chłopaków, którzy się do mnie uśmiechali. Wtedy czułam się niepokonana. Nawet trener powiedział, że ja ćwiczę lekkość, a oni siłę.

Studia, nowi znajomi, a przede wszystkim tafla, która wybaczała każdy błąd i nagradzała każdy śmiały ruch – to wszystko pozostało w mojej pamięci. Nawet dzisiaj słyszę w głowie skrzypienie łyżew, śmiechy chłopaków i swoje własne, pewne kroki na lodzie. Tak się zatraciłam w jeżdżeniu na łyżwach, że zaniedbałam ćwiczenia na sali, a miałam je z wyjątkowo trudną nauczycielką, która nigdy nie odpuszczała. Była bezwzględna w egzekwowaniu obecności. I tu zaczęły się moje problemy z panią Zofią, która nie chciała mi dać zaliczenia z WF-u, pomimo że miałam z lodowiska ocenę bardzo dobrą. Musiałam iść do dziekana i poprosić o warunkowe przejście na drugi rok. Dziekan nie mógł uwierzyć, że przez wychowanie fizyczne nie mam zaliczonego pierwszego roku.

Na szczęście miałam dobre oceny z przedmiotów prawnych i otrzymałam „warunek”. Musiałam tylko w ciągu miesiąca odrobić cały rok ćwiczeń, ale dałam radę. Pani magister od ćwiczeń wpisała mi czwórkę z miną zwycięzcy. Tylko że ja przez to nie dostałam stypendium i miałam okropne problemy finansowe.

Myślę, że niewiele osób wiedziało o tym lodowisku lub je pamięta. Później, po studiach, w końcówce lat osiemdziesiątych, gdy przejeżdżałam tam tramwajem, zobaczyłam płot i pustkę – budynek zniknął. Zamiast niego miało powstać kino „Pokój” przeniesione z ul. św. Mikołaja, niestety przez wiele lat była tam tylko dziura w ziemi, porośnięta krzewami i chaszczami. Teraz wybudowano tam Browary Książęce, nowe osiedle, a mnie jest żal tego lodowiska. Po wielu latach u znajomych spotkałam panią Zosię, która przyznała, że wielu dziewczynom zrobiła takie problemy.

Drugim wspomnieniem jest koncert 5 sierpnia 1984 roku na wyspie Słodowej, organizowany przez Wrocławskie Stowarzyszenie Jazzowe. Był to ostatni festiwal „Rock na wyspie”. Występowały zespoły grające ciężki rock i heavy metal. Podczas występu TSA spadła tak gwałtowna ulewa, że pękł dach sceny, a koncert przerwano, przenosząc na następny dzień. Było wtedy dookoła wyspy pełno młodych ludzi z łańcuchami na szyjach i ubraniach, w kurtkach i spodniach nabijanych ćwiekami. Mieli na głowach irokezy utrwalone cukrem. Taki strój nie był wówczas tylko modą wśród fanów muzyki. Był także wyrazem buntu przeciwko PRL. Dla nastolatków i młodych dorosłych stanowił sposób na pokazanie

swojej odrębności i przynależności do świata ciężkiego rocka. Stanowili oni barwny, trochę przerażający i głośny tłum.

Młodzi ludzie, którzy nie dostali się na wyspę, wskakiwali do Odry i pamiętam, jak jeden z nich przepłynął Odrę od strony Żabiej kładki. Wszyscy bili mu brawo. Milicja ich wylapywała, ale oni wskakiwali ponownie. Co ciekawe, ci, którym udało się dopłynąć, byli witani brawami, a publiczność otaczała ich, żeby ochronić przed wyrzuceniem przez ochronę. Jak wspominał organizator koncertu: „Jak ktoś przepłynął Odrę, to zostawał. Wiadomo – bohater”. Na wyspie była wtedy jedna kamienica (dziś mieści się tam Concordia Design), której mieszkańcy dostali specjalne przepustki, żeby mogli wrócić do domu. Mój mąż miał tam koleżankę z pracy i wszedł na teren festiwalu razem z nią, dzięki czemu był uczestnikiem koncertu i świadkiem ulewy. Opowiadał, że kiedy zaczęła się ta straszna ulewa, mieszkańcy wpuszczali do środka uczestników koncertu. Było w tym coś niezwykłego – poczucie solidarności z uczestnikami festiwalu. Festiwal przeszedł do historii także z tego powodu, że jego główna gwiazda, zespół Klaus Mitffoch, rozpadła się i wystąpił tylko Lech Janerka, wrocławski muzyk i rockman.

Koncerty na Wyspie Słodowej odbywały się w latach 1981, 1983 i 1984, w godzinach od 17.00 do 23.00, i trwały dwa dni. Występowały tam zespoły, które wcześniej grały na festiwalu w Jarocinie, m.in. TSA, Lady Pank, Józef Skrzek z zespołem, Lombard, Siekiera i inne.

Pamiętam, że w 1983 roku pojawiła się muzyka reggae, a jedną z gwiazd była, wówczas u szczytu sławy, brytyjska formacja Kajagoogoo – już bez Limahla.

Pamiętam też występ w Hali Targowej. Śpiewał tam brytyjski wokalista i gitarzysta Sal Solo, lider grupy The Nevs, a później zespołu Classix Nouveaux, bardzo popularnego wówczas w Polsce. Wystąpił także gościnnie w filmie „To tylko rock”. Jego utwór „Poland (Your Spirit Won’t Die)” znalazł się na Liście Przebojów Programu Trzeciego Polskiego Radia i dotarł do piątego miejsca.

Byłam tam z moimi małymi synami. To było piękne przeżycie – usłyszeć na żywo tak znanego zagranicznego artystę. Jego piosenka „Never, Never Comes” zawsze brzmi mi w uszach, gdy wchodzę dziś do tak innej już Hali Targowej.

Niestety, nigdzie nie znalazłam wzmianki o jego występie w Hali Targowej – informacje dotyczą jedynie Hali Ludowej. Myślę, że mógł to być spontaniczny występ na schodach Hali Targowej podczas jej zwiedzania. Pamiętam jego charakterystyczną, szczupłą sylwetkę, garnitur, beret założony z tyłu głowy i aksamitny głos. Był wtedy bardzo popularny w Polsce.

Kozanka

Wrocławska ławeczka



W latach 60. XX wieku postanowiłam rozpocząć zaoczne studia na Uniwersytecie Wrocławskim. Do Wrocławia na egzamin wstępny przyjechałam w nocy, z kilkugodzinnym opóźnieniem. Na Dworcu Głównym takich spóźnialskich jak ja wyszukiwali studenci na peronach i w holu dworca, umieszczali w autobusiku i rozwozili do akademików. Miejsce na piętrowym łóżku w pokoju wieloosobowym w akademiku przy ulicy Tramwajowej na Biskupinie od razu zyskało moją aprobatę. Traktowałam to jako studencką atrakcję. Zaopiekował się mną Janek, jeden z rozwożących. Przyszedł rano i na czas zaprowadził mnie do sali egzaminacyjnej.

Scenka pierwsza

Po egzaminach, w słoneczny lipcowy dzień, siedziałam na ławeczce nad Odrą. Czułam, jak wszystko uśmiecha się do mnie. To była ławeczka, na której siadaliśmy po moich zdanych egzaminach.

– Pokażę ci Wrocław od podszewki. Będziemy go razem poznawać. Teraz odpoczywaj. Spotkamy się na niej za trzy miesiące – trzeciego października o trzeciej po południu.

Nie ma go teraz, wyjechał ze studentami na praktykę.

Po przeciwnej stronie rzeki roztaczał się widok na Ostrów Tumski, najstarszą część Wrocławia. W swoich początkach był siedzibą władzy książęcej i władz kościelnych należących do śląskich Piastów. Zaskakiwała mnie ilość budowli sakralnych, z których bił spokój i klasztorna cisza.

Rozmyślałam o pierwszym przyjeździe do Wrocławia. W tym okazałym budynku na Piasku pomyślnie zdałam egzamin pisemny, a za Halą Targową, po przeciwnej stronie ulicy, egzamin ustny. Prawie wskazałam te miejsca ręką. Zegar na Hali będzie odmierzał mi studencki czas.

Z sąsiedniej ławki dotarła do mnie rozmowa trzech starszych panów rozprawiających o Wrocławiu.

– Minęło przeszło dwadzieścia lat od zakończenia wojny, a miasto niewiele się zmieniło. Zachodnia jego część leży jeszcze w gruzach i tylko gdzieś tam sterczą kikuty domów.

– Wyróżnia się tam ulica Słubicka z niewysokimi budynkami z cegły i okazała szkoła.

– My zrobiliśmy swoje. Uratowaliśmy cenne książki, starodruki, rękopisy. Uczymy młodzież. Musimy jej przekazać miasto.

W pewnym momencie zainteresowali się mną.

– Czy zdałaś pomyślnie egzamin? – padło pierwsze pytanie.

– Tak – odpowiedziałam.

– Czy wybrałaś studia humanistyczne? – zapytał drugi.

– Tak. Bibliotekoznawstwo.

– Dlaczego wybrałaś taki kierunek?

– Chcę poznać świat książek – odparłam z satysfakcją.

– Dobry wybór – stwierdzili. – Tylko we Wrocławiu uczymy bibliotekoznawstwa.

Pomyślałam: zawiozę cioci Marysi dobrą nowinę. U wujostwa w Szczecinie mieszkałam już od dziesięciu lat. Ciocia mówiła: „Danusiu, masz szczęście do ludzi spieszących ci z dobrą radą i pomocą”.

Pomyślałam wtedy, że we Wrocławiu jest tak samo. Szczęście mi sprzyja.

Według wcześniejszych ustaleń na czas sesji mogłam zatrzymywać się u krewnych przy ulicy Katedralnej na Ostrowie Tumskim, w domu biskupim. Krewni zajmowali obszerne, czteropokojowe mieszkanie na parterze. Po przeciwnej stronie holu i na pierwszym piętrze mieszkali biskup, siostry i księża. Zachwycalam się okazałym holem z marmurową posadzką we wzory i olbrzymimi obrazami na ścianach.

Scenka druga

Dwa lata później usiadłam na znajomej ławeczce. Na ten czas musiałam odłożyć przyjazd do Wrocławia z powodu wypadku. Stan zdrowia nie pozwalał mi też na comiesięczne dojazdy na sesje. Musiałam zamieszkać we Wrocławiu.

Czułam się obco. Byłam przerażona. Jak się w nim zadomowię? Czy znajdę pracę? – myślałam.

Stwierdziłam też, że nie mogę mieszkać przy ul. Katedralnej. W czerwcu chciałam zapewnić sobie etat nauczycielki w szkole, ale Wydział Oświaty nie dysponował wolnym stanowiskiem.

Obok siedziało trzech panów w średnim wieku i rozmawiali o problemach w pracy. Nagle usłyszeli niezbyt rozgarniętego chłopca, który mnie zagadywał: – Niech się pani uśmiechnie.

Taka zachęta działała na mnie jak płachta na byka. Po drugim nabywaniu odpowiadałam: – Nie rozdaję uśmiechów.

Chłopak dalej stał i pytał: – Czy mogę usiąść?

Panowie równocześnie wstali. Namolniak odszedł.

Po chwili odezwali się do mnie:

– Czy uda nam się panią rozweselić?

– Czy zauważyła pani nasze radosne twarze odbite w srebrzystej wodzie Odry? – zapytał jeden z nich.

– Nie zauważyłam – odpowiadałam.

– Z nurtem Odry płyną do nas dobre nowiny, jak ten zielony listek – powiedział drugi.

– Nie zauważyłam – powtórzyłam niecierpliwie.

– Czy chce pani wysłać wiadomość w butelce?

– Tak. Chcę, by moje dobre wspomnienia powróciły w butelce do Szczecina.

– Niech nasze wspomnienia płyną – zawyrokowali.

Dobre znaki

Czwartego września poszłam do Wydziału Oświaty w sprawie pracy. Były cztery stanowiska do obsadzenia. Wybrałam Szkołę Podstawową nr 14 na Podwalu. Koleżanka Władzia zaproponowała mi wspólne prowadzenie filii przy ulicy Słubickiej. Zgodziłam się.

Przed księgarnią Ossolineum w Rynku zauważył mnie jeden z profesorów z ławeczki. Zapytał, czy mam gdzie mieszkać, bo mógłby mi zaproponować sublokatorkę u swojej starszej krewnej, w zamian za drobne usługi i robienie zakupów.

Zamieszkałam u pani Broni na Krzykach. Traktowała mnie jak własną córkę i przyjaźniłam się z nią do końca jej życia.

Scenka trzecia

Po latach, jako seniorka, usiadłam na swojej znaczącej ławeczce.

Sąsiednią zajmowało trzech młodzieńców, rozbawionych wesołą rozmową. W pewnym momencie zauważyli mnie i zaczęli obserwować. Było to krępujące. Co zamierzają? – pomyślałam.

Młodzieńcy jednocześnie wstali i podeszli do mnie.

– Pewnie jest pani zmęczona? – zapytał jeden z nich.

– Nie – odpowiedziałam zdawkowo.

– Źle się pani czuje? – zapytał drugi.

– Nie – odpowiedziałam wymijająco.

– Czeka pani na kogoś?

– Nie – padła ta sama wykrętna odpowiedź.

Zbici z tropu młodzieńcy wykrzyknęli: – To co pani tutaj robi?

Odpowiedziałam z uśmiechem: – Jestem tu, bo lubię swoją ławeczkę. Lubię na niej łapać ciszę w miejskim gwarze. Przede wszystkim odczuwam tu Wrocław na nowo. Tutaj inaczej wygląda, inaczej pachnie, ma tyle tajemnic.

Młodzieńcy spojrzeli na mnie i powiedzieli: – To wspomnieniowa ławeczka. Dziękujemy!

A ja stwierdzam, że ludzie i miejsca są wyznacznikami naszego życia. Niektóre miejsca pozostają z nami przez lata, wracamy do nich i za każdym razem odkrywamy je na nowo.



Bogdan

Miasto, które rosło i znikało



Lipiec 1968 roku. Byłem akurat po studiach, straciłem nierozpoczętą jeszcze pracę i wpadłem do rodziny we Wrocławiu... Trzy dni wcześniej w Łądku Zdroju anulowaliśmy z miejscowym dyrektorem moją umowę o pracę w powstającej w sanatorium pracowni izotopowej. W środku zawirowań politycznych tamtego 1968 roku moje marzenia o pracy w wyuczonym zawodzie odpłynęły w dal, razem z pracownią i profesorem H., bo osoby tworzące to laboratorium zostały zwolnione *ze względu na narodowość*. Profesor przestał być szefem Katedry, ale nie wyjechał z Polski.

Poszedłem z kuzynem na Politechnikę, większość ważnych kierowników i profesorów była na urloпах. Udało mi się w Instytucie Materiałoznawstwa. – Mamy nowy aparat rentgenowski z wyposażeniem do badań – powiedział profesor. – Potrzebujemy pracownika do obsługi aparatu i wykonywania badań. Jeśli to ci się spodoba i cię zainteresuje, to zostaniesz, jeśli nie, to zawsze możesz odejść.

Ciekawość zupełnie nowych badań, nowych rzeczy i oferta miejsca w hotelu asystenckim przy moście Szczytnickim zrobiły swoje. Nie

chciałem szukać dalej ofert podanych przez pełnomocnika ds. zatrudnienia absolwentów. Wrocław na dzień dobry dał mi pracę i nocleg. I nie bez znaczenia była bardzo miła atmosfera i życzliwość współpracowników w zakładzie oraz pomoc starszego kolegi, fizyka jądrowego Andrzeja P. Takie wtedy panowały zwyczaje. Utkwił mi w pamięci tamten obraz Wrocławia i ludzi.

Czerwiec 1969 roku, jedziemy z kolegą jego nową emzetką do Wyższej Szkoły Ekonomicznej na potańcówkę. Byłem zszokowany. Ledwie wyjechaliliśmy spod wiaduktu na Komandorskiej, po lewej i prawej stronie jezdnii chaszcze, krzewy, wysokie chwasty i daleko widoczne gdzieś tam drzewa ozdobne i owocowe. Uświadomiłem sobie, że tak wygląda cały teren od Ślężnej do Powstańców Śląskich. Podczas zdobywania Wrocławia (Festung Breslau) ta część miasta przestała istnieć. Teraz była już oczyszczona z gruzów. Z motocyklowego siodełka dla pasażera widziałem przejeżdżające tymi ulicami tramwaje. Był piękny słoneczny dzień, wiał lekki wiaterek. Minęliśmy puste poprzeczne ulice: Swobodną, Skwerową, Studzienną, przecięliśmy nieczynne tory tramwajowe na Sannockiej i przy Wielkiej były pierwsze budynki od wiaduktu kolejowego, wszystkie gmachy z czerwonej cegły należały do Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Nie wiem, czy byliśmy wieczorem na tańcach w Ekonomiku, ale pamiętam, że w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy czereśni, do której doszliśmy wydeptaną ścieżką. Duże drzewo, więc spędziliśmy tam około pół godziny... Pojawiła się para studentów, która poinformowała nas, że tam, bliżej tego budynku na rogu (dziś Technikum nr 18?) są dobre jabłka, ale jeszcze niedojrzałe, trzeba sprawdzać, bo jak

dojrzeją, to szybko znikną. Z góry widzieliśmy młodych ludzi okupujących inne drzewa. Musieliśmy bacznie trzymać się ścieżki i nie zbaczać z drogi. Kolega ostrzegł mnie, że tamto miejsce po zmroku staje się bardzo niebezpieczne.

Owoce na jabłoni były rzeczywiście jeszcze zielone, więc wróciliśmy do domu. Dziś cały ten kwartał, pomiędzy ulicami Swobodną, Wielką, Ślężną i Komandorską, a nawet Powstańców Śląskich, zajmuje osiedle mieszkaniowe Dorota-Barbara, złożone z dziesięcio- i czteropiętrowych bloków z lat 60. i 70.

Pamiętam, że mieszkając przy moście Szczytnickim, przez okno z siódmego piętra widziałem cztery akademiki T1 do 4 i budynek „Dwudziestolatki” oraz powstające osiedle Manhattan. Więcej nowych budynków nie było, żadnych „Kredek i Olówek”. Wtedy też miałem przyjemność obejrzeć, we wrześniu 1969 roku, ostatni seans w historii Letniego Kina przy ul. Olszewskiego 15, tego Pod Komarem.

Wkrótce coś się zmieniło. Ożeniłem się, urodził się syn i zamieszkaliśmy w dość dużym pokoju w hotelu asystenckim dla małżeństw przy ulicy Skłodowskiej-Curie, w pobliżu Mostu Zwierzynieckiego. Wtedy naszym najbliższym miejscem spacerów i zabaw stał się Park Szczytnicki – zarówno część przy Hali Ludowej i Pergoli, jak i ta po drugiej stronie ulicy Mickiewicza. Podziwialiśmy kaczuszki w strumyku, śpiewające ptaszki, rozpoznawaliśmy drzewa i nie omieszkaliśmy zawsze odwiedzić dwóch kamiennych misiów w pobliżu Pergoli.

Nie było jeszcze Ogrodu Japońskiego ani drewnianego kościółka św. Jana Nepomucena. Czasami przekraczaliśmy ulicę Mickiewicza i

szliśmy do starej, jeszcze nie do końca uporządkowanej części parku. Rosły tam stare drzewa. Nad strumykiem szumiały duże iglaki, być może cyprysniki błotne. Dla naszego dwuletniego syna zapewne nie były szczególnie interesujące, ale nas, dorosłych, fascynowały wyrastające z ziemi, błyszczące w słońcu, gołe kolanka oddechowe. To pneumatofory. Tak te drzewa oddychają.

Późną jesienią przychodziliśmy zobaczyć, że cyprysniki, podobnie jak modrzewie, są nagie – wszystkie igły z nich spadły. Ale inne iglaki – świerki i jodły – pozostawały zielone przez całą zimę, bo przecież musiały być zielone na choinkę.

Przeprowadziliśmy się na ul. Swobodną, gdy nasz syn nie miał jeszcze trzech lat. Wprowadziliśmy się do nowego mieszkania w 10-piętrowym bloku, tam, gdzie do tej pory mieszkam. Cały teren od ulicy Kamiennej do Dworca Głównego był wtedy wielkim terenem budowy mieszkań. Ale pod naszymi blokami znajdowała się już droga dojazdowa i chodniki. Ciekawostką tych mieszkań z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku było posiadanie tzw. drzwi balkonowych w pokoju dziennym. Po ich otwarciu okazywało się, że zamiast balkonu jest tylko metalowa barierka. Do niej mieszkańcy montowali metalową ramę ze sznurkami do wieszania prania. Szybko na podwórku stworzono miejsca zabaw dla dzieci, alejki i małe betonowe boisko. Prawie wszyscy byliśmy młodymi małżeństwami z małymi dziećmi, więc całe popołudnia rozbrzmiewały radosne śmiechy i nawoływania. Na boisku buszowały przedszkolaki ze swoimi samochodzikami i innymi zabawkami, a młodzież szkolna grała

w piłkę na sąsiednim większym, też betonowym boisku przy Studziennej. Babcie i dziadkowie wyprowadzali wózki z mniejszymi dziećmi. Syn był dowożony tramwajem do przedszkola Politechniki, tam za mostem Zwierzyńskim w lewo, niedaleko naszej pracy. W weekendy na dłuższe spacery chodziliśmy do tzw. Małpiego Gaju. W tym miejscu znajduje się dziś gmach galerii handlowej Wrocławia. Przed wojną mieścił się tu największy kościół protestancki pod wezwaniem Zbawiciela, zniszczony w czasie oblężenia Wrocławia, a po kilku latach rozebrany. Spacerowaliśmy po starych alejkach. Po tym zaniedbanym terenie można było chodzić tylko w dzień, bo w nocy stawało się niebezpiecznie. Po kilku latach miasto uporządkowało teren. Wytyczono alejki, wstawiono ławki, posadzono kwiaty. Mini park, czyli nowy Małpi Gaj, ożył, zagęścił się, tu też pojawiły się mamy i babcie z wózkami i dziećmi z pobliskich domów nowego osiedla. My też tam często bywaliśmy. Zawiaływały się nowe znajomości i nowe relacje. I było bezpiecznie. Ale nie na długo. Po kilku latach gruchnęła wieść, że nowy mały park przy dworcu będzie karczowany. Bo tutaj jest najlepsze miejsce w mieście na nowy dworzec PKS. Większość mieszkańców protestowała, ale opinia o najlepszym miejscu pod dworzec zwyciężyła. Tamten na małym Placu Konstytucji pękał w szwach, brakowało miejsca na nowe połączenia, autobusy i perony. Ludzie się tłoczyli. My z żoną i z małym dzieckiem wyjeżdżaliśmy stamtąd do dziadków na wakacje na wieś. A mieszkańcom pozostał do wyboru nowo otwarty Park Andersa przy Kamiennej (po niemieckim cmentarzu) i Park Południowy – siedem przy-

stanków tramwajem. Ale odnowiono podwórka przy Studziennej i trochę dalej, między Komandorską a Powstańców Śląskich, gdzie było dużo drzew, znalazł się stół do ping-ponga i duże boisko. Tam chodziliśmy z synem.

Tylko nam, rodzicom, przykro było patrzeć, jak wycinano pod dworzec PKS stare, piękne drzewa. Musieliśmy się jednak z tym pogodzić, bo miejski dendrolog wydał zgodę na wycięcie 136 drzew z terenu przewidzianego pod dworzec. Nowo wybudowany dworzec miał pięć zadaszonych peronów, piętrowy budynek z gastronomią, sklepami i hotelem dla kierowców, a od strony ulicy Joannitów dość duży parking dla autobusów. Zieleń i cień w letnie upały zapewniały drzewa pozostawione na obrzeżach dworca PKS. Latem było tu gwarно i kolorowo, zwłaszcza od strony skrzyżowania Suchej i Borowskiej, gdzie pozostały dwa stare dęby o dużej rozłożystej koronie. Ten większy nazwano Przewodnikiem. Tu się gromadziła młodzież, tu się umawiano na randki i muzykowano. Z czasem koczowały tutaj kolorowe, wielodzietne rodziny cygańskie.

W czasie szkoły podstawowej prowadziliśmy naszego syna na naukę pływania na Plac Teatralny. Pływalnia mieściła się w pięknym przedwojennym budynku, bo baseny na Teatralnej wojna oszczędziła.

W tym czasie dużo się działo. Od października jeździliśmy na Torpiast, jedyne wówczas miejskie lodowisko, a nasza pociecha, podobnie jak jej koledzy, uczyła się jeździć na łyżwach. Około roku 1990 lodowisko zlikwidowano, bo były inne plany, choć nic nich nie wyszło. Oczywiście, często z synem kibicowaliśmy piłkarzom Śląska na Oporowskiej,

a czasami wrocławskim Kosynierom na meczach koszykówki w ich Hali na Kępie Mieszczańskiej. Trudno nie wspomnieć w tym miejscu o samochodach. Od epoki Gierka powoli przybywało prywatnych aut. Oprócz nielicznych Syren i Warszaw, zaczęło przybywać rodzimych „maluchów”, dużych Fiatów, i samochodów z tzw. Demoludów. Kiedy od 1981 roku wprowadzono wolne soboty, wtedy na osiedlowych parkingach, często na podwórkach i placach jeszcze niczych, pojawiali się właściciele aut, naprawiając, konserwując, często pomagając sobie wzajemnie i wymieniając informacje, bo giełda używanych części zamiennych funkcjonowała każdej niedzieli przy ulicy Gnieźnińskiej. Krążyły pogłoski, że można tam dokupić własne lusterko lub inny gadżet skradziony kilka nocy wcześniej. W ciągu lat zmieniał się charakter tej giełdy, ale podobno już tam ona nie działa.

W ostatnich latach, jak wiadomo, zlikwidowano istniejący dworzec, a w tym miejscu wybudowano olbrzymi gmach na całej powierzchni byłego dworca. Główną część budowli zajmuje galeria handlowa. Znalazło się miejsce dla dworca PKS, jest w podziemiu. W podziemiu też usytuowano duży parking dla klientów. Budowa spowodowała wycięcie ostatnich drzew okalających dawny dworzec (ponad 70 pni). Aby poszerzyć jezdnię i chodniki nie zmniejszono szerokości olbrzymiego gmaszyska o około dwa metry, tylko wycięto pas zieleni z kilkunastoma starymi drzewami po drugiej stronie ulicy Dyrekcyjnej. Dziwne, że dziś, kiedy nie ma już wątpliwości, że klimat na Ziemi się ociepla, rzeki i zbiorniki

wodne powoli wysychają i zaczyna brakować wody, władze miasta zgadzają się na dalsze szczelne betonowanie i asfaltowanie centrum miasta, uniemożliwiając wodzie deszczowej zasilać ubożące wody gruntowe.

I jeszcze jedno wspomnienie. Drugi dąb, nieco mniejszy od Przewodnika, nie zmieścił się w architektonicznej wizji otoczenia galerii. Psulby obraz „światowej metropolii”.

W miejscu ściętego dębu okoliczni mieszkańcy przez dłuższy czas palili znicze.



Wojciech Przesławski

Wrocław z osobistej perspektywy



Początki

Urodziłem się w 1983 r. w okolicach Placu Grunwaldzkiego, w klinice na Chalubińskiego. Moi rodzice mieszkali wtedy w Hotelu Asystenta „Sezam” przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie – tam zresztą, jako doktoranci na Uniwersytecie Wrocławskim, się poznali. Oboje przyjechali do Wrocławia z innych miast, na studia. Ojciec, Zielonogórzanin, studiował fizykę na dzisiejszym pl. Maxa Borna, imienia przedwojennego wrocławskiego noblisty z fizyki. Wtedy był to Plac Dąbrowszczaaków, a w tym samym budynku mieścił się KW PZPR. Ów gmach jest jednak poniemiecki, położony tuż nad Odrą, co zemściło się w pamiętnym 1997 roku, gdy woda wdarła się tam przez platanową aleję zwaną Bulwarem Zwierzyckiego, zalewając m.in. świeżo wybudowany pawilon i niedawno kupiony drogi mikroskop. Mama, urodzona w Chojnowie potomkini „kresowiaków” z Borysławia i Monasterzysk, studiowała zaś na WPiA (dziś WPAiE) przy Kuźnicznej. Oboje, przed „Skłodowską”, mieszkali w różnych akademikach. Mama najdłużej przebywała właśnie na pl. Grunwaldzkim w „Dwudziestolatce” opatrzonej wtedy napisem „Młodość, uroda i nadzieja miasta”. Dziś niektórzy nazwaliby to hasło

seksistowskim, ale ja się z tym nie zgadzam. Poza aspektem związanym z płcią podkreślał on wagę wrocławskich uczelni dla macierzystego miasta, które wciąż tak krótko było znów polskie i dopiero niedawno za takie zostało faktycznie uznane przez państwa zachodnie. Czy dzisiaj, gdy wiedza naukowa wydaje się pozornie leżeć „za rogiem”, o tej wadze lokalnej nauki dla Wrocławia zawsze pamiętamy?

Ja sam w „Sezamie” mieszkalem tylko przez kilka pierwszych miesięcy życia. Nie pamiętam z tego nic (nad czym boleję), ale wciąż odczuwam do tej okolicy oraz pobliskiej Pergoli, Parku Szczytnickiego, ZOO ogromny sentyment i z przyjemnością tam wracam. Największy wpływ na mnie miało jednak inne miejsce – to, do którego trafiłem z ulicy Skłodowskiej i gdzie mieszkam całe życie.

Moje miejsce...

Obszar, o którym mówię, nie pokrywa się dokładnie z granicą osiedla Gądów Mały, na którym znajduje się moje mieszkanie. Przed drugą wojną światową i długi czas po niej był to teren lotniska. W latach 80. postawiono tam „wielką płytę” – blokowisko zwane Osiedlem Kosmonautów.

To tam sprowadzili się moi rodzice, a wraz z nimi wielu innych pracowników UWŕ. Część z nich pozostaje moimi sąsiadami z klatki, nie mało również mieszkało w tym samym Hotelu Asystenta. Trafiły tu też, co ciekawe, koleżanki matki z Chojnowa – moje „ciocie”, w których mieszkaniach po raz pierwszy oglądałem magnetowidy lub słuchałem

muzyki z płyt kompaktowych, bo moje pokolenie pamięta jeszcze winyle (nim stały się modne) i kasety audio. To tu miałem zacząć poznanie świata. „Mój” obszar, który ulegał czasem zawężeniu lub rozszerzeniu, obejmuje zaś tereny pierwszych spacerów i miejsc, które jestem w stanie bez wielkiego wysiłku przejść pieszo. To nie tylko Gądów czy „Kosmos”, ale także Popowice Południowe (między Legnicką a Bystrzycką), Park Zachodni aż do Odry, a nawet obrzeża Pilczyc (mały stadion przy Lotniczej), Kuźników (dworzec), Nowego Dworu (gdzie odprowadzałem babcię pieszo na pociąg).

Wielkim atutem tego zakątka Wrocławia jest duża ilość zieleni. Stare bloki stoją tu szerokim kręgiem wokół dużych klombów, dzięki którym mieszkańcy podwórek nie muszą patrzeć sobie w okna (niestety na tzw. nieużytkach deweloperzy mogli już budować, gdzie popadnie). Swoją szeroką „klombik” widzę z okna, pisząc te słowa. Największa drabinka, na której bawiłem się przed laty, stoi tam do dziś, podobnie jak kosz, do którego oddałem z bratem pewnie tysiące rzutów. Nieopodal domu jest moja pierwsza podstawówka, wtedy SP 38, z której wyremontowanych boisk korzystam do dziś. W latach 90. na pobliskim Bulwarze Ikara postawiono kolejną szkołę. Dziś, idąc tam, nasłuchuję grania adeptów ogniska muzycznego. Na ostatnim roku studiów uczęszczałem natomiast na kurs tańca, który odbywał się w budynku tej szkoły. Jeszcze jedno wspaniałe wspomnienie... Bo tu jest ich pełno. Miejsca przywołują obrazy z całego życia.

Dziś rzadziej odwiedzam Park Zachodni, zostawiając go sobie na szczególne okazje. To tam uczyłem się jeździć na rowerze. Obecnie nie

chodzę do parku bez orzechów dla wiewiórek. Powstał on częściowo na dawnym cmentarzu niemieckim, o czym przypominają kawałki płyt, kamienne fontanny i pomnik z napisem, którego tłumaczenie brzmi: „Także ból jest posłańcem Boga”. Najpiękniejsze zakątki to polana pod wałem przeciwpowodziowym, gdzie odbywałem pierwsze pikniki z rodziną. Powódź wytrzebiła tam masę drzew, obraz zmieniła też budowa Mostu Milenijnego, jednak to wciąż magiczne miejsce, które nieraz przynosiło mi otuchę w trudnych chwilach życia. To samo dotyczy szerokiej łąki nad Odrą, za korytem której znajdują się już Osobowice, gdzie kiedyś płynąłem stateczkiem... A nieopodal wału jest już basen na Wejherowskiej, MOSiR i hala Orbita.

W dzieciństwie chodziłem na przyczółek tzw. zerwanego mostu nad torami kolejowymi leżącymi w dole pomiędzy Gądowem a Muchoborem. Wiadukt, według legendy, miał być zniszczony w czasie wojny. Zimą kładłem się tam na śniegu i robiłem „orla”. Dwie dekady temu poprowadzono w tym miejscu estakadę Gądowianka. „Zerwanie” pozostał jednak w moim sercu.

Obecnie spaceruję najczęściej między ulicami Na Ostatnim Groszu, Bystrzycką, Kwiską i Kłodnicką. Tamtejsze podwórko bije rekordy szerokości i jest niemal mini-parkiem. Mówią, że musiały tam mieszkać „jakiś szczy” i dlatego deweloperzy tam nie pohulali. Jeśli to prawda, to oby było tak zawsze! Ławeczki pod drzewami sprzyjają zadumie i zachwytom nad pięknem przyrody. Można tu też poćwiczyć na przyrządach, spacerować meandrującymi ścieżkami przez polanę, jeździć na ro-

werze. Również w zimne i ciemne miesiące chętnie „zaliczam” wędrówkę. Tamtejszą polankę przecinam też, idąc pieszo do i z galerii Magnolia, po drodze przechodząc przez ciche ulice osiedla willowego i koło małego, tajemniczego kościoła baptystów na Kłodnickiej.

Choć wiele podwórek i ulic tej mojej „własnej, prywatnej” dzielnicy zbytnio się nie zmieniło, duża część nieużytków została już zabudowana. Niekiedy tęsknię za chodzeniem przez chaszcze i zakupami na zlikwidowanym targu pod DH Astra, gdzie można było kupić prawie wszystko, choć ja nabywałem głównie kasety, nieraz pirackie... Z nostalgią myślę o „starej” bibliotece na Drzewieckiego, położonej w malej, wciąż stojącej przybudówce. W 1999 r. biblioteka przeniosła się do większego pomieszczenia, które też często odwiedzałem. Sam, choć dziś książki najczęściej kupuję, mam czasem ochotę zobaczyć, czy dalej są tam egzemplarze, które pożyczałem jeszcze w poprzednim budynku, a może nawet znów wypożyczyć je po latach... Podobnie jak zrobić zakupy w nieistniejącym już sklepiku, który nazywałem „zaczarowanym”, mieszczącym się też przy Drzewieckiego, w półokrągłym, otoczonym murkiem małym budynku – na szczęście on sam stoi do tej pory, mieszcząc m.in. przychodnię weterynaryjną. Większość moich szkolnych czy podwórkowych znajomych, dawnych sąsiadów, wyprowadziła się stąd, niektórzy odeszli już z tego świata, podobnie jak moja babcia i ojciec. Ja sam poznałem w życiu wiele innych pięknych miejsc w kraju i za granicą, w górach i nad morzem. Ale lubię tutaj wracać, jak do źródeł siebie samego, punktu wyjścia, od którego zaczęło się moje świadome odkrywanie świata.

... i trochę dalej?

W tym mieście na Ziemiach Odzyskanych (ja sam ten termin traktuję poważnie) moje wędrówki, realne i w myślach, obejmują różne plany czasowe – moje dzieciństwo, młodość i współczesność, młode lata rodziców czy czasy sławnych mieszkańców Wrocławia. I w tym wszystkim jest logika, jakby ścieżki labiryntu zawsze prowadziły we właściwe miejsce, a Ariadna trzymała nić pewną ręką. Na Plac Grunwaldzki, gdzie wszystko się zaczęło, wracam regularnie. Czasem, mijając „Dwudziestolatkę”, wracam po latach na ul. Gdańską, gdzie kiedyś byłem uczestnikiem terapii grupowej w odremontowanym niedawno pałacyku. Tutaj jest już Olbin (kiedyś „Grunwald” był administracyjnie częścią tej dzielnicy!). Do Parku Szczytnickiego muszę zawsze wybrać się na przełomie lata i jesieni. Przychodzę wtedy w okolice poniemieckiego budynku Wzorcowego Sanatorium dla Dzieci. Po wojnie po obu stronach budynku postawiono, z myślą o dzieciach osób odwiedzających Wystawę Ziem Odzyskanych, dwie granitowe figury niedźwiadków – jeden ociera łzę, drugi trzyma się za brzuszek. Misie są dziś podniszczone, a dostęp do nich utrudniony, tu wiecznie trwa remont. Mam jednak nadzieję, że i one pozostaną tam zawsze w uroczym zakątku tuż za Pergolą. W Hali Ludowej byłem na „osiemnastce” kolegów (to w podziemnym klubie), ze względu na wielość kandydatów zdawałem tam również egzamin wstępny na Wydział Prawa, po latach natomiast wzruszałem się na koncercie Mazowsza. Dziś kojarzy mi się z kawą i gofrem na jej tarasie i podziwianiem wielokolorowej fontanny wyrzucającej strumienie wody

w rytm cudownej muzyki i niezwykle otoczeniem, ogrodem japońskim, starymi, rzadkimi już odmianami drzew, poniemieckimi willami o wyszukanej architekturze, czy drewnianym, pachnącym w lecie rozgrzaną żywicą, byłem kościółkiem św. Nepomucena w samym sercu parku. Co jakiś czas wracam do pobliskiego ZOO, zwłaszcza do niedźwiedzicy Przemisi przywiezionej tu z okolic Przemyśla i cierpiącej na epilepsję. Kilka razy płynąłem stateczkiem pomiędzy ogrodem zoologicznym a przystanią na Wyspie Piasek.

Na wodnej trasie Odry mija się wspaniałe historyczne obiekty Wrocławia, Most Grunwaldzki, Politechnikę (gdzie studiował brat), Urząd Wojewódzki, pokryte winoroślą Muzeum Narodowe. Stąd widać wyniosłą Halę Targową, niedaleko jest też Panorama Racławicka, którą moja babcia widziała jeszcze jako mała dziewczynka we Lwowie. A w wyniosłej gotyckiej katedrze, wtedy bez hełmów na jej szczycie, brali ślub moi rodzice. Mam nadzieję, że zobaczę jeszcze piękną ruchomą szopkę wystawianą długo w kościele NMP na Piasku, która była dla mnie chwytającym za serce i pozytywnie nastrajającym przypomnieniem uroczych chwil dzieciństwa. Może wreszcie wróci... Na plac Nankiera, z ulicy Szczytnickiej, wróciło odnowione uniwersyteckie studium języków obcych, gdzie tyle lat chodziłem na kurs niemieckiego.

Studia na Kuźniczej, o rzut kamieniem od Rynku, sprzyjały niekończącym się wędrówkom wokół centrum Wrocławia, gdzie znów wszystko wydaje się być niedaleko siebie. Najnowszy budynek „D” Wydziału Prawa UWr ze szklaną fasadą i z restauracją „Lepione” powstało dopiero, gdy byłem na pierwszym roku. Naprzeciwko niego jest

mój ulubiony antykwariat, dalej Bar „Miś” – najlepszy w mieście; od matki wiem, że jeszcze niedawno pracowały tam te same panie, które ona pamięta z lat 70. ubiegłego już wieku, serwujące słynne na cały świat kultowe leniwe i naleśniki. Trochę szkoda, że zlikwidowano legendarny, studencki „Kalogródek”, gdzie czekaliśmy na wyniki egzaminów testowych (nie tylko alkohol tam serwowano). Koło niego, przy olbrzymiej ważce, jest oczywiście teatr Kalambur, w którym nie widziałem nigdy żadnego przedstawienia, za to poznałem raz jego dyrektora, pana Bogusława Litwińca, gdy zagadnął mnie i ojca rozglądających się po wnętrzu. Mama wspominała, że w czasie jej studiów można było tam wstąpić dosłownie z ulicy na kawę i posłuchać w ciemnym salonie gry na pianinie w wykonaniu przypadkowych, acz uzdolnionych studentów. Ja obecnie mogę podziwiać utalentowaną muzycznie młodzież akademicką na Konkursach Piosenki nie tylko Słowiańskiej, które odbywają się co roku w maju we wspaniałej barokowej sali głównego gmachu UWr – Oratorium Marianum.

Tu zahaczę, na chwilę, o kulturalną historię powojennego Wrocławia, w różnych jej aspektach – tam, gdzie geograficznie styka się ze ścieżkami moimi i rodziców. Nie chcę za dużo opowiadać tu o kinach i teatrach, które odwiedzaliśmy (m.in. słynny spektakl „Sztukmistrz z Lublina” w Teatrze Współczesnym, a następnie Polskim). Wspomnę zaś o Annie German, która występowała w Kalamburze, a dzieciństwo spędziła na Trzebnickiej przy Placu św. Macieja. Chodziła do VIII Liceum, wtedy na rogu Kleczkowskiej; w tym samym budynku po wielu latach uczęszczałem na studia podyplomowe z przekładu. Studiowała zaś – i

skończyła – geologię, tuż przy Wydziale Fizyki, we wspomnianym monumentalnym gmachu, co zostało upamiętnione na korytarzu wydziału. Co roku 1 maja, po oglądaniu bicia gitarowego rekordu świata w Rynku, idę Mostem Uniwersyteckim do lodziarni „Roma” (jej chyba nie trzeba zachwalać?), a następnie na plac Macieja odpocząć na ławce, niedaleko krzewu magnolii imienia wspomnianej Anny, jednej z moich ulubionych piosenekarek. W ten sposób tego samego dnia łączę w sercu jej tzw. staromodną, nostalgiczną muzykę z gitarowym rockiem. A największą rockmenką jest moja mama, która tyle razy opowiadała mi, jak podczas jej studiów, wieczorami na „Grunwaldzie” pobrzmiwały dźwięki Led Zeppelin, Deep Purple czy innych zespołów, wydostając się z dyskotek w akademikach z całą ich mocą na ulicę... Nie muszę chyba dodawać, że chętnie uczestniczyła w tych imprezach. Tata wolął może spektakle Grotowskiego, ale i wyprawy do hali Gwardii przy Krupniczej (wtedy Nowotki), gdzie z fascynacją obserwował nawet rozgrzewki siatkarzy... a już wtedy Polska mogła się nimi pochwalić.

Ze mną poszedł zaś na mecz żużlowy na Stadionie Olimpijskim i spotkanie kadry futbolowej z Walią na nowym już Stadionie Miejskim. Skoro już mowa o tym obiekcie, muszę napomknąć o kąpielisku Glińianki, odrobinę dalej położonym, a dopiero od niedawna przeze mnie odwiedzanym – nie tylko po to, by popływać, ale również na lody i kawę!

Co dziś zostało z mojego dawnego Wrocławia? Całkiem sporo. Nie ma już co prawda, jak wspomniałem, targu koło rozbudowanej Astry czy zerwanego mostu. Boleję nad tym, że piękny widok Wydziału Fizyki z ul. Dubois zostanie wkrótce zasłonięty przez kolejny dom mieszkalny

– tak traktujemy swoje zabytki. Upadła cukiernia Wolak na Legnickiej, gdzie tyle lat chodziłem i niedaleko której długo mieszkał Lech Janerka. Ale nie wszędzie muszę tęsknić za przeszłością, większość miejsc, które znałem i kochałem, zachowała na szczęście swój wyjątkowy charakter, nie została zastawiona, skurczona, zasłonięta jak z jakiegoś nieuzasadnionego wstydu.

I niech tak pozostanie, na długo...



Elżbieta Purska

Ludzie mojego Wrocławia



Metrykalnie jestem ze Starachowic. Mentalnie – z Jeleniej Góry, bo rodzice, bo szkoła, bo pierwsze zainteresowania. Intelktualnie jestem z Karpacza. Ogólniak, mądrzy i skuteczni profesorowie. Szczególnie polonistka i geograf. Matura. Studia. Wrocław. Rozwój zainteresowań i umiejętności.

Wrocław stał się moim terytorium. Praca w kulturze, praca w szkolnictwie. Weszłam w środowisko, gdy kończyły się lata sześćdziesiąte. Wiodąca siła narodu słabnie, a miastem rządzi prof. Bolesław Iwaszkiewicz – przewodniczący Prezydium Rady Narodowej. Naukowiec, matematyk, rektor Politechniki, autor podręczników szkolnych. Człowiek z wyobraźnią, wiedział, co będzie nam potrzebne.

My, Wrocławianie, rozwijaliśmy skrzydła. Młodzież tworzyła kluby studenckie. Ludzie sztuki szukali miejsc dla swoich twórczych dokonań. Chcieli wyjść ze swoich pracowni i gabinetów. Był już Teatr Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. Zaraz wprowadzi się z Opola Jerzy Grotowski.

Klub Związków Twórczych miał swoje miejsce w sercu miasta, w Rynku. Środowiska twórcze dostały miejsce na spotkania, wystawy,

koncerty i kiermasze. Muzycy, literaci, plastycy, fotograficy, ludzie teatru i kina. Było też miejsce dla amatorów teatru – Teatr „Zielona Latarnia”. Prowadziła go aktorka i reżyserka Irena Rzeszowska, współorganizatorka Wrocławskich Spotkań Teatru Jednego Aktora, prestiżowej corocznej imprezy. Tu też narodziło się Wrocławskie Święto Kwiatów. Klubem kierowała Rada Społeczna i Ośrodek Kultury i Sztuki. Wsparcie finansowe zapewniał wspomniany już człowiek z wyobraźnią, Bolesław Iwaszkiewicz. To były początki w czasach przedcyfrowych. Pracowałam tam. Krótka. Mam to w pamięci i w zapiskach. Mam też piękną, ręcznie wykonaną odznakę klubową.

Wrocławscy twórcy, których pamiętam, to między innymi Leszek Wisłocki, Ryszard Bukowski, Tadeusz Natanson – kompozytorzy. Tadeusz Różewicz, Urszula Kozioł, Tymoteusz Karpowicz, Kazimierz Koszutski – literaci. Eugeniusz Geppert, Henryk Starzewski, Marian Bogusz, Stanisław Gierowski – plastycy. Twórcy, goście z innych środowisk: Halina Mikołajska, Barbara Krafftówna, Tadeusz Łomnicki, Edmund Fetting – aktorzy. Erwin Axer, Sylwester Chęciński, Włodek Herman – reżyserzy. John Steinbeck – pisarz, noblista.

Pomieszczenia w Klubie Związków Twórczych były duże. Jedną ze ścian przeznaczono na podpisy ważnych gości z kraju i ze świata. Czarne litery na białej ścianie były dekoracją i pamiątką. Wiele lat minęło, powstała tam restauracja. Podpisy zniknęły. Szkoda?

Wrocław miał i ma różne fontanny. Ile z nich umiemy wymienić?

Przykładem niech będzie Fontanna Pamięci. Powstała w 2005 roku. Była to instalacja z brązu, granitu i wody. Umieszczona przy budynku niewielkiej galerii handlowej przy ul. Czystej. Miała nieduży prostokątny zbiornik z wodą w żywym obiegu – szumiącą i polyskliwą. Na granitowym brzegu fontanny wycięty był napis „Panta Rhei”. Wewnątrz w wodzie leżał pęk kluczy, na kładce – duży węzelek wędrowca odlany z brązu. Pamiętam, bo często tamtędy przechodziłam. Te klucze wrzucone w szumiącą wodę w geście bezsilności czy może rozpacz... Bardzo mnie ta fontanna poruszała. Może dlatego, że w mojej rodzinie też był taki duży stary klucz, pamiątkowy...

Autorem fontanny – rzeźby był i jest rzeźbiarz Maciej Szańkowski, profesor poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Węzelek wędrowca jest też węzełkiem pamięci. To symbol tych, którzy przyjechali do naszego miasta i tych, którzy z niego wyjechać musieli. To wspomnienia ich krajobrazów, miejsc, domów. Te klucze zatopione w wodzie to różne ich skojarzenia – słów, melodii, fotografii. Napis zaś przypomina, że wszystko płynie, również czas ludzi tak odmiennych narodów.

Czas istnienia galerii handlowej przy ul. Czystej też był płynny. Tymczasem ona nie była tylko zwykłym budynkiem. Zaprojektował ją wrocławski architekt Tadeusz Sawa-Borysławski. Za ten wyjątkowy obiekt – nowoczesny i unikalny w formie, powstały z użyciem niezwykłych i cennych materiałów – został nagrodzony w konkursie „Piękny Wrocław”. Po 22 latach budynek rozebrano. Na jego gruzowisku autor projektu, w geście protestu, w kwietniu 2022 roku rozbił puchar-nagrodę.

Fontanna też przestała istnieć, ale miała więcej szczęścia. Jej elementy zdemontowano i przechowano. Po latach wróciła na ul. Czystą, ale już jedynie jako rzeźba – bez wody. Węzełek, klucze, granitowy fragment z napisem ustawiono wśród niskiej zieleni. Aby je zobaczyć, wystarczy zajrzeć na zaplecze „Renomy”.

My, Wrocławianie, pamiętamy, jak Wrocław przeistoczył się z Breslau. Biuro Wystaw Artystycznych (przy ul. Świdnickiej) zaprosiło nas do udziału w wystawie „Przywiezione w walizce”. Pokazaliśmy wtedy wiele ocalonych fotografii rodzinnych. Była też wystawa w Muzeum Etnograficznym. Wrocławianie dostarczyli na nią mnóstwo rzeczy, które zastali w swoich powojennych mieszkaniach. To przedmioty, które w 1945 roku pozostawili, opuszczając miasto, breslauerzy, a które nowi mieszkańcy przyswoili. Dzięki temu wystawa okazała się niezwykle bogata i ciekawa. Na obu tych wystawach ja również pokazałam pamiątki moich rodziców.

Panta Rhei – wszystko płynie?

„To, co opowiadamy, staje się częścią historii. To, co piszemy, staje się częścią kultury” (autor nieznany).

Irena Brojek

Tanec po mapie Wrocławia



Rozkładałam plan mojego rodzinnego miasta, szukam miejsc, w których mieszkałam, pracowałam, uczyłam się lub prowadziłam życie kulturalne i towarzyskie. Zauważyłam, że przemieszczałam się jakby w tańcu wirowym. Opiszę poszczególne etapy tego tańca – życia.

Dawno, dawno temu, w klinice przy ul. Chałubińskiego, przyszłam na świat. Będzie więc mowa o Placu Grunwaldzkim i okolicach. Dziewiętnaście lat później mieszkałam przy ulicy Łukasiewicza, a pracowałam w gmachu głównym Politechniki przy Wybrzeżu Wyspiańskiego.

Był to początek lat siedemdziesiątych. Niby „Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”, ale ja kompletnie tego nie zauważyłam. Z jednej strony na uczelni wprowadzano komputeryzację (służyły do tego kobyłaste „Odry” produkowane przez ELWRO), z drugiej – nędzne pensje, mieszkania uczelniane tylko dla wybrańców, niesmaczne obiady w zakładowej stołówce i widok z okna służbowego pokoju na zaniedbane, wewnętrzne podwórko. Niedaleko Politechniki był plac targowy, dostarczyciel warzyw, owoców, kwiatów i... kieszonkowców. Teraz na jego miejscu mamy, niezbyt urodziwy z zewnątrz, Pasaż Grunwaldzki, gdzie jest większy wybór towarów i doliniarzy.

Lata szkolne spędziłam na Sępólnie. Jeśli popatrzymy z góry na plan tego osiedla, zobaczymy zarys orla lub tulipana. Chodziłam do dwóch różnych szkół podstawowych. Budynki, rozdzielone tylko boiskiem, swoim wyglądem – ciężką bryłą i czerwoną cegłą bardziej odstraszały niż zachęcały do wejścia w ich progi. Wewnątrz też były jak te lata pięćdziesiąte – niewygodne i nieestetyczne ławki, czarne linoleum pomazane śmierdzącą pyłochłonną pastą, wszechobecne zimno. W klasach wisiały portrety Cyrankiewicza i Gomułki. Nie da się ukryć, że nie kojarzą mi się pozytywnie.

W szkole numer 45 była sala gimnastyczna ze sceną, gdzie odbywały się uroczystości szkolne i występy. Pamiętam recital pani Ireny Galuszko, z którą w 1982 roku spotkałam się w trakcie internowania w Goldapi. Władze posadzały nas o próbę obalenia tego najlepszego (głównie dla nich) ustroju siłą. Chyba siłą śmiechu. Na przykład: „Dlaczego w stanie wojennym Polacy przypominają kartofle? Bo część w mundurkach, a reszta tłuczonych”.

Mam zdjęcie mojej klasy czwartej, pod ścianą szkoły numer 32. Wyglądaliśmy tam jak grupa z sierocińca. Wszyscy w kraju byliśmy porzuceni i opuszczeni przez aliantów i normalność.

Odeskoczną od tych wspaniałości rzeczywistości był jedyny ośrodek kultury na Sępólnie w postaci kin „Baśń” i „Światowid” w budynku po zborze ewangelickim. Teraz wrócił do właścicieli i kin nie ma.

Liceum natomiast było nowym budynkiem, leżącym na granicy Sępólna i Biskupina. Lata sześćdziesiąte to czas akcji „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. Jakie rządy, takie szkoły, na pozór piękne, szybko zaczęły się

sypać. Ironia losu spowodowała, że po drugiej stronie ulicy Dembowskiego mieści się kościół parafialny pw. św. Rodziny. Każdego dnia po południe oznamiały dzwony, wygrywając jakby memento mori dla bardzo partyjnego dyrektora szkoły.

Sąsiedni Biskupin poznawałam po drodze do biblioteki przy ulicy Olszewskiego. Z Sępólna niedaleko jest do Parku Szczytnickiego. Przewija się on przez całe moje życie nie tylko jako teren spacerów, ale i miejsce pracy. Na jego obrzeżach, przy ulicy Kopernika, stoi obiekt składający się z dwóch budynków. Jeden z nich, wpisany na listę zabytków, ma kształt statku. Został wybudowany w ramach projektu „Mieszkanie i miejsce pracy” na wystawę w 1929 roku. Przed wojną był to dom dla osób samotnych i bezdzietnych małżeństw. Lecz plotka głosi, że w latach trzydziestych i czterdziestych pełnił funkcję domu rozrywki dla niemieckich nazistów.

W latach siedemdziesiątych budynki i park prezentowały się podobnie – szaro, buro i ponuro. Zniszczony amfiteatr, po PRL-owsku zgrzebny Ogród Japoński, Hala Ludowa z kinem „Gigant” i knajpa „Kolorowa” – miejsce licznych zabaw wrocławskiego półświatka. Przed Halą stoi Iglica, pod nią, na hasło „dziewice pod Iglicę” spotykają się Wrocławianki.

Przejdźmy na drugą stronę ulicy Wróblewskiego do Ogrodu Zoologicznego, wtedy we władaniu państwa Gucwińskich. Robili ogrodowi i sobie reklamę programem telewizyjnym „Z kamerą wśród zwierząt”. Historię ich panowania poznałam dzięki książce Marka Górlikowskiego „Państwo Gucwińscy. Zwierzęta i ich ludzie”.

Po przeciwnej stronie parku mieści się osiedle Zalesie, gdzie mieszkałam kilkanaście lat. Beznadziejnie zaopatrzony sklep spożywczy, skromny prywatny sklepik warzywny, apteka, przychodnia i kiosk Ruchu – to cała jego infrastruktura. Wracalam tam po wyprowadzce co kilka miesięcy na spotkania w mieszkaniu Ani B., w ramach wymyślonej i organizowanej przeze mnie imprezy wymiankowej, którą nazwałam dress-party.

Podjedźmy tramwajem do Mostu Szczytnickiego i z przystanku skręćmy w lewo w ulicę Parkową, kiedyś Rosenbergów. Pracowałam tam dwukrotnie. Jedno z mieszkań w 1970 roku zaadaptowano na dyrekcję bibliotek dzielnicy Śródmieście i wypożyczalnię. Niedaleko, przy ulicy Bujwida, położony jest cmentarz. Odwiedzam tam grób osób z mojej rodziny.

Jeśli podjedziemy trzy przystanki, znajdziemy się przy Ogrodzie Botanicznym. Popatrzymy z przyjemnością na piękny mural na ścianie kamienicy przy ulicy Sienkiewicza, na którym są dwa czarne koty. Wchodzimy w ulicę kardynała Wyszyńskiego, gdzie na rogu z ulicą Prusa była biblioteka. Jeśli wypożyczyło się tam książkę, można było ją czytać w pobliskim parku im. Stanisława Tołpy, czyli w Parku Nowowiejskim.

Jeżeli pocujemy potrzebę większej duchowości, idziemy do kościoła św. Michała, w którym jest kaplica Edyty Stein, a przy ulicy Nowowiejskiej dom, w którym mieści się Towarzystwo im. Edyty Stein. To właśnie tam mieszkała wraz z rodziną w latach 1910-1933. W okolicy możemy skorzystać z usług fryzjera, wstąpić do apteki po kropelki uspo-

kajające nasze rozwibrowane rzeczywistością nerwy. Można pobrać pieniądze z bankomatu, ale już nie kupimy mapy w księgarni, bo teraz jest tam piekarnia. Niestety, mapy wskazującej tylko dobre drogi w życiu nigdzie nie dostaniemy.

Przy ulicy Żeromskiego minimy miejsce po prężnie niegdyś działającym kinie studyjnym „Polonia”, gdzie teraz stoi niedawno wybudowany blok mieszkalny. W pobliżu nie ostała się też biblioteka dla dzieci.

Wchodzimy na ulicę Jedności Narodowej (oj, przydałoby się nam trochę tej jedności) i mijamy budynki pozostałe po Browarze Piastowskim. Wyrosły tam nowe bloki.

Przechodzimy Most Warszawski i jesteśmy już na Psim Polu. Jeśli skręcimy w lewo, znajdziemy się na ulicy Galla Anonima. W budynku na rogu z ulicą Długosza mieściła się biblioteka, w której pracowałam siedemnaście lat. Nie ma jej, tak samo jak pobliskiego kina „Wodomierz”. Za to po remoncie wypiękniał most i pl. Kromera.

Nie mogę zapomnieć o sercu Wrocławia, a właściwie dwóch – Ostrowie Tumskim i Rynku. Ach, Rynek lat siedemdziesiątych! Przystanki tramwajowe, tłok, tłum w SDH „Feniks”, kobiety z pełnymi siatkami.

Do dzisiaj mieści się na Rynku Wojewódzka (teraz Dolnośląska) Biblioteka Publiczna, gdzie na czwartym piętrze uczyłam się w Państwowym Studium Kulturalno-Oświatowym i Bibliotekarskim. Na obiady chodziłam do baru „Barbara”, który w godzinach południowych wyglądał dość schludnie. Kiedyś jednak wstałam tam w późniejszej porze i

doznałam szoku. Zobaczyłam kadr z filmu Barei. Dzisiaj jest tam Wrocławski Instytut Kultury „Barbara”.

W latach po stanie wojennym pracowałam na Uniwersytecie przy ulicy Szewskiej i w gmachu głównym. Z Rynku niedaleko było do (nieistniejącego już) kina „Pokój”.

Teraz gdy jestem w okolicy, lubię się przejść ulicą Świdnicką, od poczty przez przejście podziemne ze schodami, kiedyś nazywanymi schodami „dziwnych kroków”, obok Teatru Kameralnego, Monopolu, Opery, PeDeTu, czyli Renomy, do ulicy Piłsudskiego, niegdyś Świerczewskiego. W czasach szkolnych jeździliśmy z Sępólna na lody „do Kruty”. Staliśmy w długachnych kolejkach, ale warto było.

Niedaleko lodziarni istniały dwa kina: „Śląsk” połączony z Operetką Dolnośląską i „Warszawa”. Teraz w pierwszym jest teatr „Capitol” a w drugim, po kompleksowym remoncie, sale noszące nazwy zlikwidowanych kin: Polonia, Lalka, Warszawa, Lwów.

Jak bardzo jestem związana z Wrocławiem, okazało się w czasie trzymiesięcznego internowania w Gołdapi. Tam każda pocztówka z widokiem miasta była cenna i wystawiana w widocznym miejscu. Wtedy też bliska stała mi się fraza Mickiewicza: „...i przenoś moją duszę utęsknioną...”.

Ewa Königsman

Księżę (nie) Małe – mój kawałek ziemi wielkiego miasta



„Dom jest tam, gdzie serce”

Pliniusz Młodszy

Mija właśnie 20 lat, odkąd los – nie pytając mnie o zgodę – przekreślił moje spokojne, sielankowe życie w małym podwrocławskim miasteczku. Spędziłam w nim prawie ćwierć wieku, by nagle, z dnia na dzień, bez alternatywy zamienić je na wielki Wrocław.

Wcześniej bywałam w tym mieście np. na jednodniowych wycieczkach lub w małym gronie, zwiedzając ciekawe miejsca, czy korzystając z wydarzeń kulturalnych. Zachwycalam się wszystkim, co w tym czasie oferował Wrocław, a czego bardzo brakowało w małych miejscowościach. Wówczas przez myśl mi nie przeszło, że to wielkie miasto może być moim domem. Nagła decyzja wyjazdu na stałe była dla mnie olbrzymim przeskokiem w zupełnie inną rzeczywistość.

I tak w styczniu 2005 roku, z całym życiowym dobytkiem zamieszkałam w południowo-wschodniej części Wrocławia na osiedlu Księżę

Małe, gdzie mieszkam do chwili obecnej. Na szczęście nowa rzeczywistość już od pierwszych dni miło mnie zaskoczyła i wyjątkowo szybko się zaaklimatyzowałam. Odkryłam, że osiedle jest miejscem kameralnym, z niezwykle ciekawą historią. Przy kilku ulicach pozostały nienaruszone budynki mieszkalne wpisane do rejestru zabytków. Unikatowych obiektów jest więcej, ale prawdziwą perelką jest Park Wschodni oraz teren po dawnej pralni. Uwagę przykuwa wysoki komin, liczne budowle, wykonane z czerwonej cegły. Powstały one w 1901 r. na powierzchni około 3,5 hektara. W czasie II wojny pracowały na potrzeby wojsk. Po wojnie, pod nazwą „Pralena”, pralnia obsługiwała mieszkańców Wrocławia. Obecnie mieści się tam kilkadziesiąt prywatnych pracowni i punktów usługowych, między innymi Teatr Dialogu z przyległą kawiarenką. Wszystkie obiekty znajdują się pod ścisłą kontrolą konserwatorską jako prawnie chronione zabytki. Atutem tego miejsca jest sąsiedztwo z Parkiem Wschodnim, którego nieco dziki charakter, pełen wiekowych drzew i licznych gatunków ptaków zapewnia zwiedzającym wspaniały relaks.

Księżę Małe to nie tylko ciekawa przeszłość. Od mojego przyjazdu, tak jak wiele wrocławskich osiedli, i to przeszło olbrzymią metamorfozę, a rozbudowana infrastruktura poprawiła warunki życia mieszkańców. W moim odczuciu najbardziej widoczne zmiany, jakie nastąpiły w ciągu 20 lat, to budownictwo mieszkaniowe, które zwiększyło liczbę napływowej ludności. Jednak nie wpłynęło to na jakość życia, bowiem realizacja licz-

nych potrzeb jest na wyciągnięcie ręki. I tak sprawnie działająca przychodnia zdrowia, dwie apteki, dwa przedszkola, filia biblioteki, szkoła podstawowa i kilka małych sklepów spożywczych są do dyspozycji.

Mnie niezmiennie zachwycają skwerki, które tworzą małą enklawę wciśniętą między tereny dawnych budynków mieszkalnych. Wygodne ławeczki umieszczone pod koronami różnorodnych starych drzew pozwalają na odpoczynek i chwilę wytchnienia o każdej porze roku.

Jest rzeczą naturalną, że są również mankamenty. Zdaniem mieszkańców Księża Małego duży problem stanowi brak większych sklepów typu supermarket czy dyskont z konkurencyjną ceną i towarem. Zaś zmotoryzowani narzekają na zakorkowane ulice i zbyt mało parkingów, czyli bolączki wielu miast. Tę niedogodność rekompensują autobusy i pętla z tramwajami nr 3 i 5, które kursują do pobliskiego centrum i dalszych części miasta. Dojazdy komunikacją miejską w każde miejsce są niezwykle dobrze zorganizowane. Od dłuższego czasu dla kilku grup społecznych, w tym dla seniorów od 65. roku życia, wprowadzono bezpłatną komunikację.

Przyznaję, że chociaż nieraz z sentymentem wracam do dawnego miejsca zamieszkania, w którym czas płynął w ciszy i spokoju, wśród życzliwych znajomych i bezinteresownej pomocy sąsiedzkiej, to bardzo szybko Księżę Małe skradło moje serce, by na zawsze pozostać kawałkiem wielkiego miasta...

Ewa Königsman

Wrocławscy studenci-seniorzy



„Nie starzeje się ten, kto stale się uczy” – Ajschylos.

Minęły dwie dekady, odkąd mieszkam we Wrocławiu i kilkanaście lat, odkąd zostałam studentką Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim. Warto zaznaczyć, że nasze UTW nie stosuje kadencyjności, toteż każdy może studiować tak długo, jak długo ma na to chęci i zdrowie – lub odwrotnie.

Godny uwagi jest fakt, że UTW w UWr istnieje od 1976 roku i jest, po warszawskim, drugim co do wielkości tego typu uniwersytetem. Liczba słuchaczy z każdym rokiem rośnie. Obecnie uczy się tu ponad 700 osób.

Przy ogromnym zaangażowaniu kierownictwa, zarządu, samorządu oraz osób prowadzących sekcje organizacyjne harmonogram zajęć w każdym semestrze jest imponujący. Trudno wymienić całą gamę proponowanych aktywności. W wielkim uproszczeniu są to poniedziałkowe wykłady audytoryjne prowadzone przez profesorów uczelni, zaproszonych gości z różnych dziedzin nauki, a także włodarzy miasta. Każdy

sluchacz ma takze do wyboru kilka blokow edukacyjnych, zajecia kultu-
ralne, sekcje prowadzone przez samych sluchaczy oraz ciekawe warsz-
taty.

Od poczatku studiow korzystalam z wielu edukacyjnych form zajec.
Dzieki temu wiele sie nauczylam i lepiej zrozumialam niezglebione me-
andry wspolczesnego swiata i otaczajacej rzeczywistosci. W zamian bra-
lam czynny udzial w kilku sekcjach, dzialalnosci kulturalnej i warszta-
tach. Niestety, od pewnego czasu, z przyczyn losowych, zmuszona je-
stem ograniczyc swoja aktywnosc. Nadal jednak uczestnicze w zyciu
uczelni.

Pragne wspomniec o warsztatach dziennikarsko-literackich, ktore od
ponad dziesieciu lat prowadzi niezwykle ceniona dr Magda Wieteska.
Jest ona andragogiem i geragogiem, a takze pisarka i dziennikarka, co
pozwalaja jej w szczegolny sposob wspierac edukacje i aktywizacje osob
starszych. Nasze warsztaty, prowadzone przez taką mentorke, ciesza sie
duzym powodzeniem. Mimo koniecznosci ograniczenia liczby nowych
osob w juz bardzo licznej grupie uczestnikow, chetnych ciagle przybywa.

Mam to szczescie, ze juz osmy rok naleze do tego zgranego zespolu
pasjonatow pisania, bowiem sa to dla mnie jedne z najwazniejszych zajec
na UTW. Profesjonalne przekazywanie wiedzy z zakresu pisania opo-
wieści, reportazy, recenzji oraz innych tajnikow warsztatu pisarskiego
jest bezcenne.

31 maja 2024 roku odbyla sie piekna uroczystosc z okazji rocznicy
dzialalnosci warsztatow. Niezwykle poruszajacym punktem programu
bylo wystapienie naszej instruktorki. Z ogromną dumą podsumowala

lata wspólnej pracy, podkreślając, że to, co już osiągnęliśmy, „jest zasługą wyjątkowej więzi z całym zespołem”.

Subiektywnie nadmienię, że właśnie wtedy, oprócz wzruszenia, upewniłam się, jak wspaniale jest być częścią tego zespołu i współtworzyć jego osiągnięcia. Mam na swoim koncie udział w przygotowaniu dwóch wydanych książek: „Mój przyjaciel smartfon” – dla dzieci szkół podstawowych – oraz „Dekalog 2.0” – zbioru naszych opowiadań dla dorosłych, inspirowanych dziesięcioma przykazaniami.

Warto również wspomnieć o dwóch numerach czasopisma „Agora Seniora”, które powstały w czasie pandemii. Korzystając z platformy Teams i dzięki usilnym staraniom naszej dr Magdy, stworzyliśmy wspólnie czasopismo poświęcone różnorodnej tematyce. Przy tej okazji, z nieukrywaną satysfakcją, zgłębialiśmy tajniki pracy pisarskiej w formie online.

Nie ma tu miejsca, aby wymienić wszystko to, nad czym pracujemy podczas cotygodniowych, piątkowych spotkań, na których każda minuta ma wyjątkową wartość. Fundamentem całych warsztatów jest prowadząca dr Magda Wieteska, dzięki której wzajemny szacunek, zaufanie i zrozumienie są nieodłącznym elementem każdego spotkania.

Renata Żurawska

Mój udomowiony Wrocław



... wspomnienia jak ptaki fruwać po niebie. Jedne szybują wysoko, stając się ledwo widoczne, inne wirują niżej, zataczając mniejsze kręgi, a jeszcze inne przysiadają na gałęziach drzew parkowych, na ławkach, na trawie, a wreszcie... tak blisko, jak się tylko da, osoby przywołującej wspomnienia.

Pierwszy z ptaków już siedzi na moim ramieniu, jest mały i zwinny, a jego piórka są koloru wanilii... A ja widzę żółty budynek Dworca Głównego we Wrocławiu w roku 1962, do którego, po pracy, wchodzi mój tato. Jest już wieczór, neonowy pan z kwiatami wesoło uchyla kapelusik i wita go słowami: „Dobry wieczór we Wrocławiu”, chociaż tato właśnie z Wrocławia wyjeżdża. Kiedy przyjeżdża do Wrocławia rano, neon „śpi”, a tatę witają dzwoniące tramwaje i gołębie.

Szybkim krokiem (pociąg już pewnie czeka na peronie) tato zmierza do dworcowego, przeszklonego kiosku (pamiętam je, kiedy sama tu bywałam), aby kupić chałwę. W tamtych czasach na dworcu można było kupić produkty niedostępne w miejskich sklepach i chałwa była takim właśnie luksusowym towarem, jak i czekolady, bakalie i inne przysmaki

oraz gazety czy zagraniczne papierosy. Spory kawałek chałwy, zapakowany w gruby pergamin, ląduje w ojcowskiej aktówce i jedzie do Nowej Rudy, gdzie czekają na nią (na tatę trochę też) ja i mój brat. W mig zjadamy wydzielone kawalki... smak i zapach świeżego sezamu i wanilii „prześladuje” mnie do dziś. Jak można się domyślić, już nigdy nie jadłam lepszej chałwy. Siła wspomnień czy konfabulacja mózgu? Jak zwał tak zwał, ale chałwa była przepyszna! Dlatego, ptaszku, masz waniliowe upierzenie, bo pewnie też lubisz chałwę?

Hej, ptaku! Tak, ty, fruwiący nad stawem, przyfruń proszę i przynieś moje kolejne wrocławskie wspomnienie... Widzę kolejny neon wrocławski. Jest rok 1974. Zdałam egzaminy do Technikum Geodezyjnego przy ulicy Swobodnej. Z braku miejsc w internacie zamieszkałam w burisie dla dziewcząt, która znajdowała się w domu towarowym PDT (dziś Renoma) przy ulicy Świdnickiej. Wspomnienie dotyczy tarasu na szóstym piętrze, na który wchodziłyśmy przez okno z naszego pokoju, skąd właśnie z bliska i dokładnie widać było neon: skradający się włamywacz w kierunku napisu PZU, który zapalał się nagle na czerwono! Gdy złodziej uciekał, napis zmieniał się na kolor biały. Ileż razy oglądałam tę scenkę! Neon, po renowacji, jest czynny do dzisiaj i przypomina mi, że nie wytrzymałam rozłąki z rodziną i po trzech miesiącach zrezygnowałam ze szkoły. Pożegnałam Wrocław na kolejnych parę lat.

Czekam na kolejne fruwiące wspomnienie... jest! Delikatny, bardziej płochliwy ptaszek przysiadł właśnie na oparciu ławki... A ja tym razem czuję zapach pierogów, masła, naleśników i cynaderek. To wspomnienie jest z roku 1978. Mieszkałam już wtedy we Wrocławiu. Ulica

Gwarna większości starszych mieszkańców kojarzy się z prostytutką, a mówiąc bardziej elegancko z „rejonem czerwonych latarni”. Ponieważ wcześniej nie mieszkałam we Wrocławiu, znam te skojarzenia głównie z opowieści, a ostatnio także ze spektaklu *Lubiemo* M. Witkowskiego. Ja mam z gruntu inne, bardziej smakowite skojarzenie. Otóż rzeczona ulica to wspomnienie baru mlecznego pod nazwą „Turysta”. Na rogu Gwarnej właśnie i ówczesnej Świerczewskiego po schodkach w dół wchodziło się do dość ciasnej sali ze stolikami do zjedzenia posiłku na stojąco lub siedząco. Na ścianie, za kasą, wisiała duża tablica wypełniona plastikowymi literkami, czyli menu na dany dzień. Chodziłam tam najpierw z chłopakiem, kiedy przyjeżdżałam pociągiem do szkoły, a później z mężem, kiedy mieliśmy ochotę na dobre pierogi lub cynaderki, albo kiedy wyjeżdżaliśmy pociągiem, najczęściej w tamtym okresie na wycieczki w góry. Ten bar zapamiętałam też dlatego, że zamówionego posiłku nigdy nie zjadaliśmy do końca, bo zawsze ktoś z boku już czekał, aby go dokończyć. Często więc zamawialiśmy pół porcji więcej, a jak pozwalały finanse, dodatkową porcję.

Widzę, że kolejny ptak drepcze w kółko, dopominając się o kolejne wspomnienie... Czuję znowu zapachy... Świeży bzowy aromat drobniutkich kwiatków przytulonych do policzka i ten sam chłopak (jeszcze nie mąż), i prawie ta sama ulica, czyli Świerczewskiego, skrzyżowanie ze Świdnicką. Taki adres jest w moich wspomnieniach, ale dzisiaj „stary krzak bzu” rośnie na Skwerze Wojciecha Młynarskiego, tuż obok Teatru Muzycznego Capitol. Krzew ten jest pozostałością ogrodów przylegających do przedwojennych, prywatnych rezydencji przy ulicy Ogrodowej,

czyli dzisiejszej Piłsudskiego. Ten lilak jest wyjątkowo żywotny, prze-
trwał bowiem zniszczenia z okresu oblężenia Festung Breslau w 1945
roku, późniejsze wyburzenia powojenne, modernizację torowisk oraz
Capitolu. W moich wspomnieniu z roku 1978 wokół krzewu bzu jest
więcej przestrzeni i teren jest mniej zagospodarowany. Dlatego właśnie
duży, kwitnący soczyście krzew bzu, rosnący prawie samotnie na trawia-
stym skwerku, zwracał uwagę i był podziwiany. Otoczony był niskim
metalowym płotkiem łatwym do sforsowania – ta informacja ma spore
znaczenie w wydarzeniu, które opisuję. To, o czym teraz napiszę, jest
wstydlive, ale poddam się ocenie czytającego i przyznam się do mło-
dzieńczej głupoty. Pewnego dnia, gdy szliśmy ze szkoły, mój przyszły
mąż postanowił udowodnić swoją miłość i zerwać dla mnie majową ga-
łązkę z tego kwitnącego bzu. Koleżanka idąca z nami powątpiewała w
jego „odwagę”, a ja milcząco czekałam na rozwój wypadków, choć czu-
łam wyjątkowość tego gestu ze strony aż tak kochającego chłopaka. Hi-
storia skończyła się tym, że oczywiście to zrobił! Nie było milicji, nie
było mandatu, ale satysfakcję z odwagi widać było na jego twarzy. „Stary
krzew bzu” pomimo uszczerbku rośnie do dzisiaj i pięknie kwitnie, a
nasze małżeństwo nie wytrzymało próby czasu – mimo takiego gestu!

Kolejny ptaszek siedzi na leszczynie obok rozłożystego dębu i przy-
gląda mi się, przekrzywiając główkę, a ja już czuję, że wspomnienie bę-
dzie przyjemne... To ulica Róży Luksemburg (teraz Grota Roweckiego).
W 1979 roku była wąska i zielona, z kałużami po bokach i ochlapaną
siatką ogradzającą ogródki działkowe. Autobus 113 kursował z taką so-

bie punktualnością, a jadąc nim, miałam wrażenie, że to już koniec miasta. Widać było domki jednorodzinne, najczęściej poniemieckie, z dużymi, zadbanymi ogrodami. W jednym z takich domów, w przyziemiu wynajmowaliśmy z mężem pokój. Był to wtedy jeszcze mój chłopak, ale wkrótce wróciliśmy tu po weselu, już jako małżeństwo. Właścicielka domu prowadziła działalność „maglową”, czyli tzw. magiel, gdzie prasowała pościel i ręczniki. Przybytek, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, już dzisiaj niespotykany. Czasem tam bywałam, poproszona przez właścicielkę domu o pomoc, i przyznam, że lubiłam tam bywać. Byłam świadkiem ciekawych, śmiesznych, a czasem dziwnych rozmów czy zdarzeń, takich jak: znalezienie żony dla syna jednej z klientek, dziesiątki porad, jak pozbyć się męża pijaka, a także przyjęcie porodu przez właścicielkę, z pomocą sąsiadek. Do dzisiaj korzystam z przepisów kulinarnych zapisanych wtedy do zeszytu. Wspominam także działki warzywne w miejscu, w którym teraz stoi szpital akademicki na Borowskiej. Chodziliśmy tam z mężem na spacer, bo czuliśmy tam dużo dobrej energii. To były fajne dwa lata...

Nadchodzi zmierzch. Na murku przede mną przysiadł kolejny ptak, duży i z okazałym dziobem. Jakieś mocne wspomnienie przynosisz, pomyślałam... I już za moment wiedziałam, że tak jest. To wspomnienie przypomina mi o ciarce i dotyczy... budynku, w którym pracowałam na 20. piętrze. Budynek Poltegoru, bo o nim tu mowa, powstał w 1982 roku, miał 25 pięter i dziewięć wind. Wynajmować w tym budynku pomieszczenia firmowe to była nobilitacja. Krótko jednak trwała duma z prestiżowych pomieszczeń, bo szybko się okazało, że są minusy, i to

jakie! Pierwszy to karaluchy! Ten budynek był „zakaraluchowany” w stopniu maksymalnym. Właściciel budynku wykonywał profesjonalne opryski, ale bez rezultatów. Wyciągaliśmy karaluchy z jedzenia, picia, z torebek, kieszeni i urządzeń biurowych. Pamiętam, że przed wejściem do domu, po pracy, sprawdzaliśmy wszystko, aby nie wnieść jakiegoś do mieszkania. Wspomnienie pierwszego wysłanego rano faxu albo pierwszego wydruku z drukarki i obraz rozgniecionych kilkunastu sztuk karaluchów na papierze, to była rzecz obrzydliwa. Drugie wspomnienie jest podszyte strachem. Zakomunikowano nam bowiem, że strażacy nie posiadają zewnętrznej drabiny sięgającej do 20. piętra, więc w razie pożaru trzeba się ratować w inny sposób. Kolejna nieprzyjemna reminiscencja to... wychylanie się budynku od pionu, podczas wiatru. Na 20. piętrze to naprawdę niezły odlot. Do tego uczucia trzeba było się przyzwyczaić, ale ja nie mogłam. I gdy wiało, nie przychodziłam do pracy. Gdy w 2007 roku zapadła decyzja o rozbiórce Poltegoru, śmialiśmy się, że to nie brak nowoczesnej klimatyzacji był powodem rozbiórki, tylko karaluchy.

Zrobiło się ciemniej, zaszło słońce, a ja czekam na kolejną ptaszynę... jest! Przywołanie wspomnienia nie trwało długo. Już widzę za-bytkowy budynek z czerwonej cegły przy ulicy Glinianej. To Szpital Położniczo-Ginekologiczny (teraz mieści się tu Powiatowy Urząd Pracy). W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku (koszmarnie to brzmi, czy jestem już taka stara?) rodziły tam tysiące kobiet w warunkach, delikatnie mówiąc, surowych. Nawet po cesarskich cięciach było nas na sali osiem kobiet, bez odwiedzin z zewnątrz i nierzadko bez kontaktu z dzieckiem (to mój przypadek). Był za to piękny balkon, podobny do tego, na jakim

stała Julia, a nawet ładniejszy. Stawałyśmy na tym balkonie, a pod nim nasi mężowie niczym Romeo, szczęśliwi z urodzin syna albo córki! Nie śpiewali ballad, ale przynosili kompoty o niesamowitym smaku i najlepiej z jabłek. Rozmowy się nie kleiły, potrzebny był wysilek, aby głośniej mówić, a nasze brzuchy były przecież świeżo zaszyte. To wspomnienie nie byłoby pełne, gdybym nie wspomniała o dorodnej magnolii, która 16 maja kwitła jak zwariowana. Kiedyś magnolie kwitły w maju, teraz ze względu na zmiany klimatyczne kwitną dużo wcześniej. Jest ich też dużo więcej, jak wszystkiego innego w dzisiejszych czasach...

Dziękuję ci, ptaku, za to wspomnienie, jesteś chyba ostatni, bo prawie ciemno... Znikł, nie odbierając podziękowań, a ja spojrzałam jeszcze na Agawę, naprzeciwko której siedzę. To pierwsza wrocławska knajpa (knajpa to co najmniej parę stopni wyżej niż zwykła pijalnia piwa, a taką historycznie była Agawa w latach 50.), którą poznałam i której byłam długo wierna. Działy się tam ważne dla mnie spotkania, widywałam ciekawych ludzi, słyszałam ciekawe opowieści kątem ucha, których, przynajmniej nie wszystkich, powtarzać nie powinnam...

Gdybym miała odpowiedzieć na pytanie, jaki jest mój Wrocław, odpowiedziałabym, że... udomowiony. Lubię zwłaszcza dzielnicę Krzyki, bo od niej wszystko się zaczęło... i dalej wszystko się właśnie w niej kręci.

Anna Błachnio

Jak zostałam Wrocławianką



Wrocław – moje miasto. Myślę, że tak mogę dziś nazwać ten piękny gród nad Odrą. Mieszkam w nim już 60 lat, ale nie od urodzenia. Jak to się stało, że do niego trafiłam?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, należy się cofnąć w czasie o te 60 lat.

Był rok 1966. Zdawałam wówczas maturę w Liceum Ogólnokształcącym im. Braci Śniadeckich w Zgorzelcu, gdzie się urodziłam. Zaraz po maturze postanowiłam pójść na studia. Najbliżej miałam do Wrocławia. Tak też doradzili mi rodzice i właśnie w ten sposób trafiłam do miasta, w którym mieszkam do dzisiaj, chociaż tego nie planowałam.

Byłam dumna z bycia studentką Uniwersytetu Wrocławskiego, ale wyrwana z rodzinnego gniazda, spod opiekuńczych skrzydeł mamy i taty, czułam się zagubiona i osamotniona w tak dużym i obcym wówczas dla mnie mieście. Miałam wprawdzie 18 lat, byłam osobą dorosłą, ale dopiero wtedy poznałam prawdziwy smak samodzielnego życia. A ponieważ z natury jestem ciekawa świata, dość szybko przezwyciężyłam lęk przed nieznanym i codziennie, krok po kroku, na ile czas mi na to pozwalał, poznawałam Wrocław, wędrując lub jeżdżąc po nim środkami

komunikacji miejskiej. W ten sposób, w krótkim czasie poznałam Rynek, Ostrów Tumski, Halę Stulecia, Park Szczytnicki, Ogród Zoologiczny i Botaniczny.

Poznałam też na uczelni nowych kolegów, moich rówieśników. Chodziliśmy razem na różne imprezy studenckie, do kin i teatrów. Polubiliśmy też operę. Na jej spektakle kupowaliśmy bilety na tak zwaną jaskółkę, bo tam było najtaniej, co dla naszych studenckich kieszeni miało duże znaczenie.

Kiedy studia dobiegały końca, trafiła mi się oferta podjęcia pracy we Wrocławiu. Ucieszyłam się, bo polubiłam to miasto i żał byłoby się z nim rozstawać. Wynajęłam pokój sublokatorski, bo mieszkań na zawołanie nie było i zaczęłam zarabiać swoje pierwsze w życiu pieniądze. Zanim zamieszkałam w swoim M-3, jadłam obiady w barach mlecznych. Najczęściej był to kultowy Bar Mleczny Miś, istniejący zresztą do dzisiaj i nadal popularny wśród studentów, emerytów i turystów odwiedzających Wrocław. Bar ten stał się wrocławską legendą. Podobnie jak legendą obrosła znana, lubiana i także kultowa piosenka „Mkną po szynach niebieskie tramwaje”.

Dzisiejszy tabor komunikacji miejskiej różni się od tego, kiedy powstała ta popularna piosenka. Jest nowoczesny, szybki, bezpieczny (drzwi zamykane w czasie jazdy) i klimatyzowany. Odeszły też na zawsze przystanki „na żądanie”, bo zastąpiły je sympatycznie brzmiące przystanki „na życzenie”. Podobno tylko we Wrocławiu są takie przystanki.

W ciągu 60 lat przeżytych przeze mnie we Wrocławiu byłam naocznym świadkiem wielu ważnych, miłych, ale i przykrych wydarzeń w tym mieście.

Dobrze pamiętam marzec 1968, stan wojenny 1981, powódź tysiąclecia 1997 i poprzedzający ją kongres eucharystyczny, wizyty papieża Jana Pawła II 1983, 1997 i pandemię covid-19 w latach 2019-2023.

Poznałam też na przestrzeni tych lat wielu wartościowych i życzliwych ludzi, z którymi nadal utrzymuję kontakty. Ale trafiłam też na takie osoby, o których chciałabym zapomnieć i więcej nie zobaczyć.

Jak oceniam dzisiaj Wrocław jako doświadczona przez życie seniorka? Myślę, że nie będzie to nic odkrywczego, kiedy powiem, że jest to miasto nowoczesne, barwne, tętniące życiem, przyjazne ludziom i warte zamieszkania.

A na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć słowa o Wrocławianach nieznanego autora: „Każdy Wrocławianin ma swój własny Wrocław, bo wielkie miasta nigdy nie są tym samym dla poszczególnych mieszkańców. To niewykonalne. Zajmują zbyt dużą przestrzeń.

Do niektórych zakątków można nie trafić przez całe życie”.

Baśka

Z okien mojego pociągu życia



Gdzieś przeczytałam, że życie można przyrównać do pociągu. W dniu urodzin wsiadamy do pociągu, który będzie nas wiozł przez całe życie aż do stacji, gdzie życie się kończy.

Mój pociąg wiezie mnie już ponad 79 lat i zaczyna dostawać trochę zadyszki. Do mojego wagonu wsiadali po drodze różni pasażerowie: rodzina, znajomi, koledzy, przyjaciele. Jedni podróżują ze mną do dzisiaj, inni wysiedli na wcześniejszych stacjach. Za jednymi tęsknię, rozstanie z innymi przyjął bez żalu. Za oknami pociągu miga całe życie, przesuwają się sceny, obrazy, nawet całe „rolki”. Niektóre obrazki zapomniałam od razu, inne zapadły w pamięci do dziś. Życie, ot, po prostu życie.

Chociaż nie urodziłam się we Wrocławiu, to Wrocławianką czuję się od zawsze. O Wrocławiu można opowiadać dużo, jednak przedstawię tu tylko kilka fragmentów, które ujrzałam za oknami swojego pociągu, niekoniecznie w porządku chronologicznym.

Koń

Jest lato, mam około sześciu lat, przechodzę w pobliżu Mostu Uniwersyteckiego. Wzdłuż bariery stoi spora grupa ludzi, patrzą w dół na

rzekę, krzycząc coś i wymachując rękami. Przechodzę na most i również spoglądam w dół między szczeblami bariery. W dole pływa przerażony koń, nie może wyjść na brzeg, jest zbyt stromo. Wzdłuż brzegu biega właściciel zwierzęcia, bezradnie próbuje zachęcić go do wyjścia z wody. Bez skutku. Przyjechała straż pożarna, ale strażacy nic nie mogli zrobić. Pewnie dziś by znaleziono sposób, aby pomóc zwierzęciu. Wtedy nie udało się. Przez kilka nocy nie mogłam zasnąć, wciąż miałam przed oczami tonącego konia. Zawsze go widzę, kiedy wchodzę na ten most.

Mama

Chciałabym wspomnieć tu o mojej mamie, bohaterce powojennego Wrocławia, jakich pewnie było wiele w tych trudnych czasach. Opuściła mój pociąg cztery lata temu. 11 sierpnia 2026 roku skończyłaby 100 lat.

Do Wrocławia moja rodzina przyjechała w 1950 roku. Mama nie miała wykształcenia, wyrwała się z biednej wsi na Mazowszu, wielu ludzi tak robiło. Cztery klasy podstawówki dostępne na tej wsi to mało na zrobienie kariery. Trzeba było gdzieś zamieszkać, utrzymać dzieci, znaleźć pracę. Ojciec raczej nie pomagał. Dostała pracę listonoszki na poczcie głównej przy ul. Krasieńskiego, otrzymała też mieszkanie służbowe przy Sienkiewicza. Te okolice były terenem moich zabaw. Krótko uczęszczaliśmy do przedszkola. W wyniku wybuchu dyfterytu w przedszkolu moja siostra Krystyna zmarła, opuściła mój pociąg życia. Zostałam sama w domu, kiedy mama szła do pracy. Do przedszkola już nie wróciłam w obawie przed ponownym zachorowaniem. Czasem do

pracy zabierała mnie mama, bawiłam się wtedy przed pocztą w klasy albo skakałam na skakance.

Jakoś tak w tym czasie dostała się na kurs prawa jazdy. Po jego ukończeniu i zdaniu egzaminu została kierowcą. Była pierwszą we Wrocławiu, a może i w Polsce kobietą – kierowcą zawodowym. Uczestniczyła w filmie „Irena do domu”, dublując w niektórych scenach Lidię Wysocką. Jeździła różnymi samochodami. Były to przede wszystkim auta niemieckie, na korbę, na akumulator. Rozwoziła nimi paczki, opróżniała skrzynki pocztowe. Dopóki nie rozpoczęłam nauki, jeździłam z nią po Wrocławiu, znałam prawie wszystkie dzielnice i ulice Wrocławia. Przedsiębiorstwo Transportu Samochodowego Łączności było miejscem, gdzie pracowała aż do emerytury.

Wielki marsz

Pamiętam takie zdarzenie we Wrocławiu. Mam dziewięć lat. Od strony Dworca Głównego w stronę Rynku ulicą Stalingradzką maszeruje tłum ludzi. Trzymają w rękach transparenty i białe-czerwone flagi, wykrzykując hasła, z których szczególnie zapamiętałam dwa: „Niech żyje Polska” i „Rokossowski, zjeżdżaj z Polski”. Nie bardzo wiedziałam, o co w nich chodzi, ale dołączyłam do tych ludzi i razem z nimi krzyczałam. Widziałam kilku młodych mężczyzn, którzy wspięli się na gruzowy wzgórek i po ramionach jednego z nich zerwali tabliczkę z nazwą ulicy Stalingradzka, rzucając ją na ziemię. Ja doszłam z nimi tylko do Rynku, oni poszli dalej. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że zmienili też ulicę Stalina na Jedności Narodowej.

Polana Popowicka

Rok 1997 był dla mnie i dla Wrocławia pamiętny. W czerwcu przyszła na świat moja wnusia, w lipcu byłem z nią na pierwszym spacerze. Kroczyłam dumnie, pchając przed sobą wózek po Parku Popowickim, obok którego mieszkałam. Codziennie wychodziłam tam z psami na polanę, położoną w zagłębieniu terenu między ulicą Popowicką, nasypem kolejowym i wałem przy Odrze. Polanę otaczały piękne stare dęby, akacje, buki i ogrody działkowe. Po kilku dniach od tego spaceru nastąpiła powódź 1000-lecia. Moja piękna polana pogrążyła się w wodzie. Buki nie przetrwały.

Teraz polana wygląda jeszcze piękniej. Są tam ścieżki, siłownia, ławeczki, plac zabaw, no, cudnie! Po Popowickiej ruszyły tramwaje, jednym z nich dojeżdżam do Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Droga wodna

Jeszcze jeden obrazek z powodzi. Idę z synem ulicą Kollątaja w stronę Kościuszki. Zmierzamy do mojej córki, która mieszka przy ul. Dworcowej, tuż przy trzonolinowcu. Od dwóch dni nie ma z nią kontaktu, gdyż nie działają telefony ani środki transportu miejskiego. Samochód też odpada, bo ulice są zalane i poprzegradzane barykadami. Nie siemy jej wodę do picia. Woda, którą zalane są ulice, sięga nam po pas. Kiedy zbliżyliśmy się do skrzyżowania Kościuszki i Kollątaja, na samym jego środku zobaczyliśmy ponton, a na nim moją córkę z mężem. Z ich

kamienicy można się było wydostać tylko wpraw lub za pomocą pontonu. Widok był niesamowity. Dookoła ludzie po pas w wodzie zmierzający w różnych kierunkach, ponton, nawet ktoś na kole ratunkowym. Wiele scen z powodzi zostało w mojej pamięci, ale ta była szczególnie zabawna.

W pamięci zachowały się strzępy różnych zdarzeń i przeżyć. Nie wszystkie da się opisać, ale przy okazji przypomniałam sobie jeszcze wiele obrazów i scen, które przemknęły za oknem mojego pociągu. Coraz częściej stajemy, żeby ktoś wysiadł. Nieuchronnie zbliżamy się do stacji końcowej.



Janda

„Dzień dobry we Wrocławiu”



Do Wrocławia przyjechałam z Przemyśla w lipcu 1981 roku na egzaminy na Uniwersytet Wrocławski. Kiedy wyszłam przed dworzec PKP, zobaczyłam napis „Dzień dobry we Wrocławiu” i wysokie kamienie. Byłam tak przejęta, że rozbawionego taksówkarza uparcie prosiłam, aby zawiózł mnie pod akademik „Kaktus” przy ulicy Glinianej.

Po zdanym egzaminie z języka francuskiego w Studium Języków Obcych przy pl. Nankiera postanowiłam pójść podziękować za ten sukces w kościele. Jestem katoliczką, ale zupełnie pogubiłam się wśród licznych świątyń znajdujących się w tej części miasta. Dopiero gdy do środka wszedł prawosławny ksiądz, zorientowałam się, że trafiłam nie tam, gdzie zamierzałam. Śmiałam się z własnej pomyłki jeszcze przez długi czas. Nie było wtedy telefonów komórkowych, więc nie mogłam od razu podzielić się tą zabawną historią z bliskimi.

Wracając tramwajem nr 17, przeżyłam kolejną niespodziankę. Z powodu awarii tramwaj zatrzymał się wśród drzew Parku Szczytnickiego. Nigdy wcześniej nie byłam we Wrocławiu i naprawdę wydawało mi się, że znaleźliśmy się w lesie. Wsiadłam razem z jedynym pasażerem –

czarnoskórym mężczyzną. Gdy zobaczyłam postój taksówek przy Stadionie Olimpijskim, odetchnęłam z ogromną ulgą.

Spośród pięciu kandydatek z Sanoka na studia dostałam się tylko ja. Mój tata powiedział wtedy z troską: – Dziecko, gdzie ty jedziesz? Przecież ten Wrocław zaraz zabiorą Niemcy.

Rok wcześniej nie dostałam się na Uniwersytet Lubelski i rozpoczęłam naukę w Studium Kulturalno-Oświatowym w Krośnie. Jeden z wykładowców z wielką pasją opowiadał o najpiękniejszych kościołach Europy. Szczególnie zachwycił się wrocławską katedrą. Pokazywał zdjęcia i mówił o jej niezwyklej historii. Słuchałam tego jak opowieści o miejscu, którego nigdy nie zobaczę.

Kilka miesięcy później, idąc na badania do studenckiej przychodni, nagle stanęłam przed tą samą katedrą. Nigdy nie zapomnę wzruszenia, jakie wtedy poczułam. Do dziś za każdym razem, gdy przechodzę w jej pobliżu, wracają tamte emocje.

W 2024 roku przeszłam na emeryturę. Idąc kiedyś na spotkanie z koleżanką obok katedry, pomyślałam, że po trzydziestu trzech latach pracy w przedszkolach, w tym dwudziestu siedmiu jako dyrektor, mogę wreszcie powiedzieć sobie: **to jest moja katedra.**

Na studiach poznałam swojego przyszłego męża. W 2001 roku, po osiemnastu latach naszego małżeństwa, „Wieczór Wrocławia” ogłosił konkurs „Bukiet za wyznanie”. Mój mąż, poeta, napisał dla mnie wiersz i zdobył główną nagrodę – bukiet kwiatów.

„Już jesteśmy dorośli

Młodość mamy za sobą,

A Ty jesteś jak dawniej
Tego związku ozdobą.
Przyjechałaś tu z Bieszczad
Z dalekiego Sanoka,
A ja jak głupi sztubak
Nie spuszczałem cię z oka.
Wrocław Ciebie pokochał
Tyś się nim zachwyciła
I jesteśmy ze sobą
Lat dwadzieścia już, miła...
Wrocław z nami pięknieje
My jesteśmy wciąż młodzi
Lat następnych dwadzieścia
Naszych uczuć nie schłodzi”.

Zmarł na zawał serca w wieku zaledwie czterdziestu dziewięciu lat, mój poeta. Pozostały jego wiersze – także te poświęcone Wrocławowi.

Po przejściu na emeryturę zapisałam się na Uniwersytet Trzeciego Wieku. Przez rok z radością wracałam do budynku Instytutu Pedagogiki i Psychologii przy ulicy Dawida, gdzie kiedyś studiowałam. Liczyłam, że odnajdę tam swoją młodość. Ale po roku zauważyłam, że magia nie działa, młodość nie wraca. Czas się ogarnąć. Cieszę się, że od nowego roku akademickiego Uniwersytet Trzeciego Wieku będzie miał siedzibę w Centrum im. Willy'ego Brandta przy ulicy Strażniczej. To dobry moment, żeby wszystko zacząć od nowa.

Tak jak zmieniało się moje życie, zmieniał się także Wrocław. Nie oceniam, czy na lepsze, czy na gorsze. Staram się odnajdywać w nim to, co ma wartość: historię, kulturę, duchowość i ludzi. To miasto od ponad czterdziestu lat jest moim domem. I kiedy dziś mijam napis „Dzień dobry we Wrocławiu”, mam wrażenie, że wciąż jest skierowany właśnie do mnie.



Larysa Wegneris

Miasto, które mówiło ludzkim głosem



Miasto pamięta.

Pamięta oddechy ludzi, ich głosy, kroki, pośpiech, pracę. Gromadzi warstwa po warstwie ślady obecności tych, którzy odeszli i tych, którzy są jeszcze dzisiaj, choć wkrótce również staną się przeszłością.

Są jeszcze stare uliczki i zaułki, gdzie na wysłużonym bruku rozlegał się stukot końskich kopyt i turkot drewnianego wozu, zapowiadającego węglarza. Przywoził węgiel, od którego zależało zimowe bezpieczeństwo niejednej rodziny. Ostry zapach końskiego potu potrafi czasem przywołać te obrazy. Są jeszcze wśród nas ci, co pamiętają. Furkot zsypanywanego węgla, czarny pył i ściągnięcie uzdy zniecierpliwionego konia. A na sąsiedniej ulicy rozlegało się znajome wołanie: „Noże ostrzę, garnki drutuję!”. Metalowe koło, napędzane pedałem, sypało snopami iskier, zwabiając ciekawskie dzieci, dla których to była duża atrakcja.

Miasto pamięta głosy, których już nie słyszać, zapachy i smaki. Pamięta, że brzmiało wtedy zupełnie inaczej, mówiło ludzkim głosem. Dziś ulicę wypełnia szum silników, klaksony i syreny aut.

Nie wszystkie z tych głosów rozbrzmiewały na ulicy. Czasem cicho pukały do drzwi. Tak przychodził felczer, niosąc nie tylko torbę medyczną, ale i poczucie bezpieczeństwa. Znał swoich pacjentów, często do trzech pokoleń w tył. Wiedział więcej o ich życiu niż niejedna karta medyczna. Miał mniejsze uprawnienia od lekarza, ale dla wielu rodzin był pierwszą i najważniejszą pomocą. Cierpliwie słuchał. Trzymał za rękę. Przynosił ulgę i nadzieję.

Jedni przynosili pomoc, inni wiadomości. Taką rolę pełniła telefonistka międzymiastowej. To od niej zaczynała się każda daleka rozmowa. Pamiętam te małe, duszne pocztę w miejscowościach lotniskowych. Tam zamawiało się tzw. „międzymiastową”. Aby uspokoić lęk o pozostawiony dom. Najpierw wielogodzinne czekanie, a potem upragniony głos: „Wrocław, kabina czwarta”. Ebonitową słuchawkę przyciskało się mocno do ucha, jakby od tego zależała jakość połączenia. Mówiło się głośno, bo wydawało się, że głos musi pokonać setki kilometrów. Cała kolejka, łącznie z panią z okienka, uczestniczyła w życiu rozmówcy.

Co jakiś czas włączała się telefonistka: „Mówi się?”. „Tak, mówi”. Nie bez kozery Jeremi Przybora pisał: „Proszę nie rozłączać, to nie międzymiastowa, to międzyludzka”. Trudno o trafniejsze określenie tamtych rozmów. Dzisiaj połączenie trwa ułamek sekundy, wtedy miało ludzki głos. Głos telefonistki.

A nieuchronny powrót z wczasów i rozleniwione poranki przywoływał do porządku mleczarz, dzwoniąc butelkami mleka podstawianymi pod drzwi. Życie wskakiwało na tryb pracy, bo mleko już stało.

Maszynistka, której warsztatem pracy była maszyna do pisania, stukła w klawisze. Stuk, stuk i dzwoneczek, gdy zbliżał się margines. Potem energiczny ruch przesuwania walka. To swoista melodia połączona z zapachem tuszu, kalki, papieru. Litery odbijały się na kartce, tworząc treści z cudzego życia. Petycje, pozwы, prace dyplomowe, literaturę, a czasem listy – cudze. Dziś między człowiekiem a treścią stoi komputer. Wtedy stała jeszcze maszynistka. Sprawna, dyskretna i niemal niewidzialna.

Nie ma już ludzi, którzy budowali nasze miasto od podstaw, po zniszczeniach wojennych. I chociaż ci opisani przeze mnie nie układali cegieł, to przecież podtrzymywali nasze życie i byli jego częścią. Tworzyli akustykę miasta, które mówiło ludzkim głosem. Wraz z nimi zniknęła pewna postawa. Świat, w którym człowiek był ważniejszy od procedury, pamięć od bazy danych, a imię od numeru klienta. Gdy w słuchawce słyszało się żywego człowieka, którego można było zupełnie po ludzku zapytać. Gdy felczer mógł napisać medyczną historię pokoleniową twojej rodziny. Bo znał dziadka, mamę i ciebie, a potem twoje dzieci. Bo się przejmował i pamiętał. Bo był dla niego całością, a nie zwichniętą ręką, czy chorym sercem.

Byli jeszcze kaletnicy, repasarki, introligatorzy czy cerowaczki. Naprawiali to, co dziś wyrzucamy. Dawali rzeczom drugie życie, nie znając słowa recykling. Miasto pamięta, choć daje przestrzeń na nowe.

Dzisiaj nowe, a jutro już zbyteczne. Tak zmienia się świat i ludzie.

Postęp nie pyta o sentymenty. Zostawia po sobie wygodę, ale zabiera ślady i głosy. A kiedy milkną, zostaje cisza. I pamięć.